Cena egzemplarza

w W. Brytanii ... 9 d.
w Belgii .... 5 fr.b.
we Francji ..... 10 fr.fr.
w Holandii ..... 40 cent
w Niemczech .... 2 RM.
w Szwajcarii .... 40 rp.
w Szwecji ...... 60 öre
we Włoszech ... 30 lir

ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Rok VII Sobota 13 września 1947 r. Nr 37 (271)

W NUMERZE

ZASTĘPCA — Przyspieszona sowietyzacja Rumunii
ST. GŁ. — Berlin w sierpniu 1947 r.
TADEUSZ BORN — Uwagi pozjazdowe
A. PLUTYŃSKI — Ostrożność która zabija
A. T. — Napaść na Kasprowicza
KONSTANTY KIETLICZ-RAYSKI — Podróż do piekła
TADEUSZ NOWAKOWSKI — Euterpe, Alleluja!
JANUSZ KOWALEWSKI — Ucieczka
ALICJA DRWĘSKA — Cambridge
WIKTOR JUNOSZA — Na froncie walki sportowej
ST. R. — Przegląd gospodarczy
(o) Premier belgijski Spaak przeciw prawu veta
(s.s.) St. Zjedn. i W. Brytania na Dalekim Wschodzie

Po wymianie listów Waszyngton – Watykan

Wojna rozpoczęta w dn 1 sierpnia 1914 była jeszcze wojną w dawnym stylu. Chodziło wyłącznie o sprawy panowania politycznego i gospodarczego. Istniał ograniczony przedmiot sporu. Wszystkie jednak państwa i społeczeństwa, biorące w nim udział miały bez wyjątku mniej więcej ten sam styl życia i opierały je na tej samej podstawie światopoglądowej. Różnice były w skali, a nie w istocie. Skala mogła nawet wykazywać dużą rozpiętość, ale była jednak ta sama, chociaż na jednym jej końcu była demokratyczna republika francuska, a na drugim autokratyczny carat rosyjski, wykazujący coprawda zawsze wyraźne odchylenia i obecność pierwiastków innych, pokrytych tylko kulturą zachodnią.

Te rzeczy zmieniły się dopiero w r. 1917, z chwilą, gdy bolszewicy zdobyli władzę w Rosji, usuwając z niej wpływ wiary chrześcijańskiej. Pokój wprawdzie zawarty został według starych wzorów. Ale rzecz znamienna, w układaniu tego pokoju nie brała już udziału nowa Rosja. To był właściwie pierwszy początek żelaznej kurtyny. Za nią wyrastał świat zupełnie inny. Różnica tym razem nie była różnicą tylko skali. Była już w pełni różnicą odmiennej istoty. Krótko mówiąc, nowy świat był światem bez Boga. A świat po drugiej stronie był wprawdzie obarczony wielkimi grzechami, ale był światem, który uznawał Boga i wszystko to, co z tego uznania się wywodzi, mimo że — zwłaszcza w polityce — zbyt często łamał jego przykazania.

Otóż tych dwóch światów pogodzić się nie da. Jeden z nich musi zwyciężyć, jeden z nich musi upaść. Nawet język, którym te dwa światy mówią do siebie jest tak inny, że się nawzajem nie rozumieją. Gdy jeden powiada „na początku było słowo", drugi powiada, że słowo było na końcu, a na początku była materia. Gdy jeden powiada, że słowo i idea ukształtowały świat, drugi oświadcza, że słowo i idea są tylko wtórnym odblaskiem przemian materii. Te dwa twierdzenia spotkać się z sobą nie mogą. Stanowią one zupełnie różne nie wnioski, ale podstawy. A skoro nie spotykają się podstawy, cóż dziwnego, że szczyty wież, które się na nich buduje, nie schodzą się, ale rozchodzą.

O tym dobrze wiedział świat przewrotu bolszewickiego. Wiedział od samego początku i dlatego jako cel postawił sobie otwarcie i jasno zniszczenie drugiego świata. Zniszczenie zupełne aż do najmniejszych korzeni i ostatniego zabłąkanego ziarna. Wiedział on i wie, że z każdego pozostawionego niebacznie korzenia i z każdego ziarna świat, którego nienawidzi, odrastać będzie na nowo. Z tego rozpoznania wyciągnął logiczne wnioski. Wiedząc, że zadanie nie jest łatwe, w pierwszym okresie przyczaił się i gromadził siły, starając się zyskać na czasie i uniknąć starcia w chwili niedogodnej. Dzisiaj osądził, że czas przystąpić do działania. Weszliśmy w drugi okres.

* * *

Świat przeciwny, świat uznający porządek chrześcijański, długo, bardzo długo nie zdawał sobie sprawy o co chodzi. Z uporem przemawiał i jeszcze dzisiaj czasem przemawia do przeciwnika językiem, którego ten nie uznaje i nie pojmuje. Sam też nie rozumiał, że słowa w tym innym świecie mają zupełnie inny charakter i inną istotę. Został wprawdzie ten sam dźwięk jak gdyby ta sama muszla. Ale tę muszlę opuścił już właściwy gospodarz, albo też został z niej wyrzucony. Zawiera ona inną treść. I dopiero niekończący się szereg bolesnych pomyłek zaczął powoli otrzeźwiać świat chrześcijański, a uparta nieubłaganość polityki bolszewickiej zaczęła otwierać mu oczy. Jak się zdaje na szczytach jest to już obecnie rzeczę dokonaną. Szczyty te wiedzą już, że starcia z Rosją to nie są starcia o takie czy inne sporne zagadnienie

Ojciec Św. Pius XII układający jedno ze swych ostatnich przemówień

ściśle określone, starcia, o wyraźny przedmiot który może być duży, może nawet obejmować cały jakiś kraj, albo bardzo wielkie sprawy gospodarcze, ale jest ograniczony. Bo są to w istocie właśnie starcia — bez granicy, starcia ostateczne, które kończą się tylko wtedy, gdy jeden z przeciwników zginie. I dlatego też nie można tego nowego świata udobruchać ustępstwami. Ustępstwo może być wprawdzie wielkie, ale zawsze ma granice. Gdy jednak granic nie ma, wtedy nie istnieje przedmiot sporu, któryby był pomiędzy dwoma przeciwnikami, tak że podzieliwszy ten przedmiot, albo ustąpiwszy go drugiemu, mogliby oni nadal obok siebie istnieć. Stąd polityka zaspakajania, dla której Anglosasi ukuli słowo „appeasement", porusza się w próżni. Bolszewizm nie woła: „pieniądze, albo życie", nie daje wyboru. Chodzi tylko o życie.

* * *

Pisaliśmy w poprzednim numerze w artykule „Misja p. Taylora", o wspólnych podstawach świata chrześcijańskiego.

Na tym tle listy wymienione między prezydentem Trumanem, a Papieżem, których wyjątki ogłosiliśmy, w tym samym numerze, są wydarzeniem donioślejszym, niż liczne obrady i zjazdy polityków i mężów stanu, odbywające się po rozmaitych stolicach świata. Są one dokumentem o trwałej wartości i dowodem, zrozumienia, że walka toczy się dzisiaj nie tylko o dolary, a nawet nie tylko o takie czy inne ziemie. Z listów prezydenta Trumana i Papieża wynika jasno, że wspólna jest wszystkim chrześcijanom ta sama podstawa pojmowania życia. Prezydent Truman powiada: „trwały pokój może być oparty tylko na zasadach chrześcijańskich" oraz: „sądzę, że tym, czego świat dziś najbardziej potrzebuje jest nowe odrodzenie wiary". A wreszcie używa nawet słów, które mógłby, wydaje nam się, powiedzieć Św. Augustyn, albo Św. Tomasz w swoich rozważaniach o państwie i społeczeństwie: „Jeżeli Pan Najwyższy nie buduje sam domu, to trud tych, którzy go wznoszą, będzie stracony".

Toteż Papież mógł mu odpowiedzieć bez zastrzeżeń: „Z wszelką pewnością Wasza Ekscelencja tak jak wszyscy obrońcy praw osobowości ludzkiej spotka się ze szczerą współpracą Kościoła Bożego".

Znaczenie wymiany tych listów — podkreślamy to, raz jeszcze, — jest ogromne. Świat zrodzony w Rosji w roku 1917 usiłuje właśnie zbudować dom, z którego wygnał „Pana Najwyższego". Stara się wznieść budowę sprzeczną z „porządkiem boskim", o którym mówi Papież, sprzeczną także z prawem naturalnym, o którym mówią Ojcowie Kościoła. Wiadomo, czym to grozi.

Treść listu prezydenta Trumana świadczy o tym, że cały już dzisiaj świat chrześcijański, świadomy, o co chodzi, tym zamierzeniom się przeciwstawia.

* * *

Tym też tłumaczy się stanowisko Watykanu w sprawie konkordatu z rządem warszawskim. Zrywając go wkrótce po objęciu władzy w Polsce, rząd ten odsłonił swoje właściwe oblicze, popełniając w ten sposób omyłkę, którą później, zdając sobie sprawę z niezręczności swojego kroku, usiłował odrobić. Ale Watykan nie łudzi się, podobnie jak nie łudził się i nie łudzi ani na chwilę Kościół w Polsce. W długim artykule pt. „Polska i Watykan" warszawski korespondent „Timesa" [illegible] 2 bm.:

„W wyniku powstał stan rzeczy, który można nazwać „ni pokój ni wojna" a który charakteryzuje obecne stosunki pomiędzy Watykanem a klerem katolickim w Polsce z jednej strony, a rządem polskim z drugiej strony. Papież uznaje w dalszym ciągu dawny rząd polski w Londynie i nie pozbawił dra Papée, przedstawiciela tego rządu przy Stolicy Apostolskiej, jego statutu dyplomatycznego. W Polsce kardynał Hlond i hierarchia kościelna odmawia na ogół uznania nowego stanu rzeczy w Polsce. Aczkolwiek kardynał Hlond mieszka zaledwie w odległości 5 minut drogi od Belwederu, ani razu nie był on jeszcze u prezydenta Bieruta. Wszystkie dotychczasowe wysiłki, zmierzające do załatwienia konfliktu i zakończenia tego nienormalnego stanu rzeczy, nie doprowadziły dotychczas do niczego, i szanse na [illegible] pokoju wydają się bardzo oddalone".

Działalność rozwijana od jakiegoś czasu przez rząd warszawski w dziedzinie wychowania — pisaliśmy obszernie o tych sprawach — i kultury, dowodzi wyraźnie, że komuniści w Polsce rozpoczęli już w pełni walkę z Kościołem i chrześcijaństwem, przygotowując na polu umysłowym grunt pod dalsze kroki. Wystarczy śledzić pod tym względem rozprawy i artykuły drukowane od dłuższego czasu w „Kuźnicy". Kroki te mogą nastąpić zaraz, albo dopiero za jakiś czas. Jest to wyłącznie sprawa chwili, którą komuniści uznają ze względów taktycznych za dogodną. Że one jednak nastąpi o tym nikt nie wątpi.

A. T.

Ustalenie odpowiedzialności

Nikogo już nie trzeba przekonywać o tym, że losy świata w najbliższej przyszłości zależeć będą od ułożenia stosunków, ściślej od wyniku współzawodnictwa między dwiema głównymi potęgami świata: Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim. Niemniej twierdzenie to powtarza się wszędzie i bezustannie i nie może być inaczej, dopóki wynik ten nie będzie wiadomy. A jesteśmy zaledwie u początków sprawy.

Jeżeli dążenia i metody strony sowieckiej były już od dawna i dość dokładnie znane, jakkolwiek przez część opinii Zachodu zostały stosunkowo dość późno „odkryte" — to cele i zamiary strony amerykańskiej osłonięte były przez czas pewien mgłą tajemniczości. Nic w tym dziwnego zważywszy, że polityka Stanów Zjednoczonych jako głównego mocarstwa światowego była i jest jeszcze w stadium powstawania.

Od niedawna jednak, przybiera coraz wyraźniejsze kształty i w ostatnich czasach nie brakło wystąpień ze strony odpowiedzialnych amerykańskich mężów stanu, którzy publicznie i jasno ogłaszali zasady polityki swego kraju i wskazywali kierunek jej dążeń. Mowa Sekretarza Handlu p. W. Averell Harrimana, wygłoszona w Waszyngtonie dn. 18 sierpnia, wyjaśnia i precyzuje stanowisko kół kierowniczych Stanów w obecnej sytuacji międzynarodowej.

Mowę tę podała zrazu prasa brytyjska w znacznym skrócie, dopiero ogłoszenie pełnego jej tekstu w prasie amerykańskiej pozwala zdać sobie sprawę z naczelnych tez tego wystąpienia. Jest ono tym ważniejsze, że p. Harriman — urzędujący minister handlu — należy do grona ludzi, którzy od szeregu lat biorą udział czynny i twórczy w kształtowaniu polityki zagranicznej Stanów.

W przemówieniu swym określił p. Harriman jasno i niedwuznacznie cele, do których zmierzają Stany Zjednoczone. Są to: „zachowanie swobód" i „rozrost produktywności". Jednocześnie stwierdził, że osiągnięcie tych celów jest niemożliwe bez czynnego udziału Stanów w polityce światowej: „nie możemy ponownie odwrócić się od świata". Wskazał grożące niebezpieczeństwo: „imperializm państwa policyjnego", który zalał „prawie wszystkie narody żyjące we wschodniej Europie i grozi zalaniem Europie zachodniej". Oparł się na doświadczeniu z niedawnej przeszłości: „Nauczyliśmy się, że gdziekolwiek jest dyktatura, czy to w kształcie komunizmu czy faszyzmu, tam jest groźba dla bezpieczeństwa i postępu ludzi wolnych".. I na świadomości dzisiejszej potęgi Stanów: „W tym atomowym wieku nie ma ochrony przed odwetem z powietrza. Nasza zdolność zastosowania natychmiastowego, silnego odwetu z powietrza jest największym z możliwych środków, odstraszających innych od użycia siły wojskowej".

„Stany Zjednoczone są dziś przeważającym w swej sile mocarstwem, zdolnym stawić czoło temu zagrożeniu wolnych instytucji".

Przypomniał również p. Harriman słowa p. Johnsona w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, z których to słów wynika, że niezdolność Rady, wobec nadużywania prawa veta, do skutecznej akcji — nie może przeszkodzić w działaniu zbiorowym, lub ze strony poszczególnych państw, jeżeli działalność ta jest zgodna z celami i zasadami Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zastrzegając się wreszcie, że stosuje pewne uproszczenie, scharakteryzował p. Harriman dwie grupy, w podziale, który powstał na świecie jako wynik polityki sowieckiej: „... w jednej grupie są ci, którzy wierzą lub dążą do statutu praw (jednostki) z całą ludzką jego treścią. W drugim są ci, którzy ani nie wierzą w statut praw, ani doń nie dążą".

Najważniejszą bodaj i najbardziej znamienną, jeżeli chodzi o poglądy kierowniczej opinii amerykańskiej, jest ta część przemówienia p. Harrimana, w której poddał on ostrej krytyce postępowanie ludzi będących dziś u steru władzy w Związku Sowieckim. W Rosji — mówił p. Harriman — „grupa najbardziej napastliwych rewolucjonistów wszystkich czasów chwyciła władzę i programami swymi głęboko zmieniła bieg ludzkich wydarzeń. Nikt nie może przewidzieć jej ostatecznego celu. Nie ulega jednak wątpliwości, że oddziała ona na nas w naszym życiu i później. Jest to wielkie zagadnienie naszych czasów".

W obecnej fazie gigantycznego sporu między Waszyngtonem a Moskwą, widać w opanii amerykańskiej coraz wyraźniejsze dążenie do ustalenia odpowiedzialności za bezskuteczność wysiłków pokojowych i — w tym dążeniu — do obciążenia odpowiedzialnością nie państwa sowieckiego jako tworu prawnego ani wchodzących w jego skład narodów, ale ściśle określonej grupy ludzi, kierujących od lat jego polityką. Sprawa ta — jak pokazał proces norymberski — jest zagadnieniem pierwszorzędnej wagi przy stwarzaniu podstaw dla współżycia międzynarodowego i układania stosunków na przyszłość. Do niedawna bowiem tzw. racja stanu była argumentem ostatecznym, którym pokrywano wszelkie działania, przedsięwzięte w jej imieniu — zarówno zwykłą działalność polityczną jak i pospolite zbrodnie. Wszelkie nadużycia osłaniane były płaszczem abstrakcyjnie pojętego państwa, któremu wszystko wolno. Nasze czasy przyniosły w tej dziedzinie zasadniczą zmianę poglądów.

Jednocześnie z oceną działalności grupy ludzi dzierżących obecnie władzę w Związku Sowieckim, interesuje opinię amerykańską pytanie jak długo trwać będzie istniejący stan rzeczy, czy i w jaki sposób mogą dokonać się zmiany. Próba odpowiedzi na to pytanie był artykuł w kwartalniku „Foreign Affairs", podpisany literą X, a przypisywany p. Kennanowi, szefowi nowego „sztabu planowania" w Departamencie Stanu. Przypominamy tok rozumowania autora tej pracy, której treść znają nasi czytelnicy z artykułu naszego korespondenta nowojorskiego: Grupa, obecnie rządząca w Sowietach jest jedyną na świecie grupą, rządzącą bez przerwy i niemal w tym samym składzie osobowym od lat przeszło dwudziestu; zmiana więc nastąpić musi nieuchronnie. Zważywszy jednak, że system sowiecki odrzucił wszelkie drogi kompromisu politycznego, łagodzącego „przejścia" i że w systemie tym wychowane zostało pokolenie ludzi, którzy wreszcie dojdą do szczytu władzy — więc owo „przejście" będzie prawdopodobnie poprzedzone okresem rozkładu i chaosu. W tym okresie Amerykanie skłonni są oczekiwać zasadniczych zmian, jeżeli nie nastąpią one wcześniej.

Nie wdając się w tej chwili w rozważania nad tym, czy i w jakim stopniu pogląd ten jest uzasadniony znajomością wewnętrznych stosunków sowieckich — stwierdzamy tylko, że przebija on coraz częściej w wystąpieniach publicznych i w komentarzach politycznej prasy amerykańskiej. I tak np. pisał ostatnio „New York Times": „...Musimy pamiętać o tym, że państwo dyktatorskie takie jak Rosja może, i czyniło to wielokrotnie w przeszłości, zmienić nagle kierunek, gdy widzi, że weszło na niebezpieczną drogę. Możemy również przypomnieć, że dyktatorzy, choć potężni, nie są jednak nieśmiertelni; że gdy dyktator umiera, heroldowie nie wołają: „król umarł, niech żyje król". Przeciwnie, jest zazwyczaj okres zamieszania, często zmiany polityki. Czas jeżeli go użyjemy umiejętnie, jest po stronie sił demokratycznych".

Wydarzenia ostatnich miesięcy dowodzą, że kierownicze koła amerykańskie nie zamierzają bynajmniej, w wykorzystaniu owego czasu, poprzestać na biernym oczekiwaniu. Przeciwnie, polityka amerykańska ujawnia wzrastającą i coraz bardziej świadomą swych celów aktywność. Jednak, w jej ocenie, należy — zdaniem naszym — wystrzegać się zbytnich uproszczeń, prowadzących do nieporozumień. Na owe nieporozumienia zwracano niejednokrotnie uwagę, w ostatnich czasach, właśnie ze strony amerykańskiej. Polegają one na mniemaniu, że w dążeniu do zorganizowania świata, w obronie przed zagrożeniem sowieckiego komunizmu, będą Amerykanie po prostu „stawiać" na ludzi, uważanych za rzeczników skrajnego konserwatyzmu społecznego lub [illegible] skrajnie „prawicowych". Jest to pogląd dość daleki od rzeczywistości. Nie należy, oczywiście, przesadzać w węszeniu wszędzie „reakcji", który to termin, w rozumieniu propagandy sowieckiej, oznacza po prostu wszystkich tych, którzy nie chcą kapitulować wobec imperializmu moskiewskiego, z socjalistami francuskimi, brytyjskimi, polskimi i p. Bevinem włącznie. Niemniej ze strony amerykańskiej dawano często wyraz obawom, że jednostronne wiązanie się ze skrajnymi ugrupowaniami byłoby przeciwne interesom i zamiarom Stanów Zjednoczonych, gdyż oddaliłoby je od szerokiej opinii publicznej w Europie i poza Europą. Toteż sympatie amerykańskie — czy w Chinach czy w Grecji — idą raczej na spotkanie dążeniom, obejmującym w szerokiej współpracy wszystkich, którzy uznają konieczność obrony wolności i prawa.

Zarysowujące się obecnie zbliżenie Waszyngtonu i Watykanu przynieść powinno raczej wzmocnienie tych tendencyj. Kościół bowiem, grupując pod swymi skrzydłami ludzi, należących do wszelkich warstw społecznych i wyznających różne programy polityczne, unika wiązania swej działalności z programami poszczególnych ugrupowań, dążąc coraz wyraźniej, zgodnie ze swą misją, do objęcia jej zasięgiem jak najszerszych warstw swych wyznawców.

Jerzy Prądzyński

Dyskretne zainteresowania

(P) „W krajach katolickich Europy, zarysowujące się zbliżenie między Waszyngtonem i Watykanem stwarza sytuację nową, w której tkwią zarodki potężnych możliwości (mówi się znowu o kandydaturze arcybiskupa nowojorskiego kardynała Spellmana na stanowisko Sekretarza Stanu w Watykanie). Jest zatem dość charakterystyczne, że prasa brytyjska poświęciła owej historycznej wymianie listów bardzo małą uwagę. (Podobną zresztą oszczędnością miejsca przyjęto ostatnią, mocno antysowiecką mowę amerykańskiego Sekretarza Handlu p. Harrimana).

Natomiast rozważny „Times" poświęcił wkrótce potem pokaźne dwie szpalty — o czym piszemy na innym miejscu — omówieniu stosunków między Polską a Watykanem i owej „dyskretnej" walce, toczącej się między rządem warszawskim i duchowieństwem katolickim z kardynałem Hlondem na czele. Artykuł korespondenta warszawskiego utrzymany był, zgodnie z tradycją pisma, w tonie wstrzemięźliwej rzeczowości. Z tym jednak, że zawiera obszerniejsze omówienie tych chwil w historii naszej, w których interesy Państwa lub narodu Polskiego znajdowały się w sprzeczności z bieżącą polityką Stolicy Apostolskiej. Nie brak m.in. wzmianki o niepowodzeniach Romana Dmowskiego w Watykanie, w czasie pierwszej wojny światowej, ani przypomnienia znanego cytatu ze Słowackiego: „O Polsko, twa zguba w Rzymie".

Skąd to mało zainteresowanie nie tylko dzisiejszymi stosunkami Polski z Watykanem, ale również ich historią? Tak się właśnie złożyło, że artykuł ów ukazał się wkrótce po ogłoszeniu wymiany listów między Waszyngtonem i Watykanem, tak dyskretnie podanej przez brytyjską prasę. Jeżeli więc — jak należy przypuszczać — krajowa prasa proreżimowa nie omieszka przedrukować artykułu „Times'a", to jej czytelnicy wyciągną stąd odpowiedni wniosek co do poglądów, panujących w londyńskich kołach politycznych. Ten mianowicie, że wobec światowego zbliżenia Waszyngton — Watykan stanowisko Londynu jest odrębne i wstrzemięźliwe, a w sporze między warszawskim rządem i duchowieństwem polskim, sympatie londyńskie są w pewnej mierze po stronie reżimu.

Gdyby zatem sądzono w Londynie, że zbliżenie owo — wzmacniając sympatie dla St. Zjednoczonych w krajach katolickich Europy — grozi stosunkowym cofnięciem się wpływów brytyjskich w tych krajach — to artykuł „Times'a" możnaby tłumaczyć jako posunięcie taktyczne. Zupełnie zresztą zrozumiałe w ramach ogólnej, prowadzonej obecnie przez Londyn polityki utrzymywania „równowagi" między Waszyngtonem i Moskwą, z kolejnym dziś posunięciem sympatii w stronę Moskwy i wyraźniejszym „kontrowaniem" Amerykanów na różnych terenach.

Mielibyśmy więc do czynienia z jednym z fragmentów rozpoczętej już — prawdopodobnie w przewidywaniu sowieckiego odwetu — gry o wpływy na obszarach, znajdujących się dziś w strefie sowieckiej, zatem m.in. w Polsce. Wygląda tak, jakby obawiano się w Londynie zbyt radykalnych zmian w przyszłym obszarze „posowieckiego spadku" — takich zmian, które mogłyby przynieść osłabienie wpływów czy nadziei brytyjskiej Labour Party na rzecz czynników rzekomo bardziej „proamerykańskich" tj. niezależnych od Sowietów. Innymi słowy, „z dwojga złego" lepszy byłby — wydaje się — w oczach Londynu, Cyrankiewicz od — Putska. Nic nowego.

napisał W. A. ZBYSZEWSKI

Przyszłość imigrantów w Anglii

Otrzymaliśmy ostatnio szereg artykułów poświęconym omówieniu położenia Polaków w Anglii. Będziemy je kolejno ogłaszali jako materiał dyskusyjny. Dziś drukujemy artykuł p. W. A. Zbyszewskiego, który ze swego punktu widzenia naświetla to zagadnienie. W następnym numerze zamierzamy ogłosić artykuł p. J. Mieroszewskiego, który wysunie swój pogląd na to zagadnienie.

Redakcja „O.B."

Odwiedziłem ostatnio obozy polskie w Devon, malowniczym, najpiękniejszym może zakątku Anglii. Zarówno obozy wojskowe jak i hostele, gdzie nasi dzielni rodacy mieszkają już jako pracownicy cywilni, zatrudnieni na roli, w odbudowie miast, w przemyśle. Ci chłopcy — robotnicy robią najlepsze wrażenie. Są dużo inteligentniejsi od przeciętnych Polaków amerykańskich, którzy — nie była to ich wina — rekrutowali się przeważnie z niepiśmiennych chłopów. Nasi chłopcy objechali pół świata: z oczu świeci im żywość, spryt, radość. Śmieją się do nowej „wielkiej przygody". W bitwie pracy szarżują z takąż brawurą jak na linie niemieckie. Materiał to zdrowy, pierwszorzędny. Zdziwiony byłem wysokim odsetkiem ludzi młodych. Ci zwłaszcza już przemyśliwują jakby wspólnymi siłami dzierżawić farmy, na których obecnie pracują. Jaka przyszłość, czeka tu w Anglii, ten wyborowy materiał ludzki?.

Żyjemy w okresie gwałtownych przewrotów, i co jak co, ale marzenia urzędniczo-emerytalne inteligencji polskiej z ery niepodległości są nieosiągalne: „pewnej przyszłości" nigdzie być nie może. Spokój Wiktoriański nie wróci. Raz po raz słyszeć będziemy to o tym, że niebywały dobrobyt jest tuż-tuż, to znowu o głodzie, kryzysie i zaciskaniu pasa. Technika i wiedza, te dwie królowe czy raczej magie naszych czasów, będą stale rewolucjonizowały nasze życie, najistotniejsze podstawy naszego bytu, na skalę dużo większą, niż to potrafią robić najbardziej rewolucyjne partie. Warunki pracy robotnika polskiego w Anglii różnią się od robót naszych fornali przedwojennych nie mniej niż obsługa zmechanizowanej dywizji różni się od wojaczki ułańskiej w 1920 r. Osobiście przypuszczam, że jeszcze większe zmiany są za pasem: sztuczny deszcz jest może sprawą nie wielu lat, energia atomowa, która jest niewątpliwie sprawą bliższej przyszłości niż się na ogół przypuszcza, pozwoli zapewne na rozwój inspektów, o których się dzisiaj nikomu nie śniło: nowalie w zimie stać się mogą regułą, nie wyjątkiem. Może jeszcze dalsze przewroty, jeszcze bardziej zdumiewające, czyhają za rogiem. Rutyna jest najgroźniejszym wrogiem nie tylko wojskowych, grozi niemniej cywilom.

Polski emigrant szybko się zorientował, że Anglia daje mu dwie wielkie korzyści: najwyższe płace w Europie (wyższe istnieją tylko w Stanach Zjednoczonych i Dominiach Brytyjskich) oraz silny i sprężysty ustrój prawny, który pozwala mu bronić swoich praw, dochodzić swych krzywd, korzystać ze wszystkich przywilejów wolnego człowieka. Dla pracowników fizycznych (określenie coraz mniej trafne, bo każda praca wymaga dzisiaj coraz większego intelektu, doświadczenia i wiedzy), Anglia jest w tej chwili omalże „rajem": robotnik rolny zarabia 4 Ł tygodniowo, gdy przeciętna płaca miesięczna fornala w Polsce wynosiła około 20 zł. — co prawda pobierał ordynarię. Najniższa płaca górnika wynosi Ł 5 tygodniowo, gdy przed wojną u nas wynosiła tyleż mniej więcej miesięcznie (125 zł.) Biorąc pod uwagę wzrost cen, płace w Anglii są dzisiaj dwu-lub trzykrotnie wyższe niż w Polsce przedwojennej, a conajmniej pięciokrotnie wyższe niż w Polsce obecnej. Wreszcie zdrowa waluta pozwala oszczędzać i ciułać. Oczywiście, dla inteligencji widoki są znacznie gorsze.

Inteligencja wszędzie i zawsze żyje w dużej mierze z państwa, z niej się rekrutuje element urzędniczy, oficerski, nauczycielski itp. Zresztą inteligencja była najsłabszym czynnikiem w naszej strukturze społecznej. Atawistycznie, popełniliśmy błąd ten sam, co nasi praojcowie, kiedy ci namnożyli „szlachty-gołoty", chudopachołków, którzy trzymając się klamek wielkopańskich wynaturzyli ustrój polityczny, a nieznośnym garbem obciążali warstwy chłopskie i mieszczańskie. Inteligencji produkowaliśmy zbyt wiele na nasze potrzeby: w roku 1938 mieliśmy 50 tysięcy słuchaczy szkół wyższych, tyleż co bogata i imperialna Wielka Brytania. Dzisiejsza Polska jeszcze bardziej obłędnie idzie po tej samej zgubnej pochyłej: na wydziale sztuki w Krakowie jest dzisiaj 120 słuchaczy, gdy najwyżej 10 czy 20 może marzyć o dostaniu jakiej-takiej posady w tej dziedzinie pracy. Reszta — to będą nieużytki i malkontenci, wiecznie błagający o zasiłek czy posady, ciężarem swym kładący się na ludzie pracujących i wytaczającym z niego wysokie, rujnujące podatki. Nawiasem mówiąc Anglicy w stypendiach dla polskiej młodzieży porobili zbawienne i zapóźnione reformy: tylko 10% ma prawo studiować humanistykę, prawo czy ekonomię — reszta została skierowana na technikę, handel, zawody praktyczne. W tej dziedzinie wyższych studiów możemy być Anglikom wdzięczni, że nas mocno w garść wzięli, i brać z nich przykład, gdy znowu będziemy organizowali nasze wyższe szkolnictwo w Polsce, które obecnie zachwaszczają komunistyczne kąkole nieuctwa, donosicielstwa i propagandy.

Tak więc, perspektywy dla wielkiej masy wychodźtwa polskiego w Anglii — emigracji zarobkowej — są obecnie pomyślne. Nieporównanie lepsze, niż w Niemczech i w Italii, dwuch krajach zrujnowanych, skąd wszystkich Polaków należy jak najprędzej wyciągnąć (gorzej im może być tylko w Rosji). Lepsze niż we Francji, gdzie płace są o połowę niższe i gdzie przeciętny Francuz jest znacznie bardziej wyzyskiwaczem. Ale gdy tyle czytamy o kryzysie angielskim — niejeden zadaje sobie pytanie: na jak długo? Czy będzie tu dla nas miejsce? Czy nie lepiej od razu dać drapaka?

„Prawa ekonomiczne" nie istnieją. Toteż z całą pewnością nikt przepowiadać przyszłej koniunktury nie może. Moje przewidywania są następujące:

Przede wszystkim kryzys angielski jest przesadzony. Porównajmy Anglię i Francję. Anglia jest dużo mniej zniszczona. Jej przemysł jest dużo potężniejszy, bardziej współczesny. Waluta jest mocniejsza. Czarny rynek stokroć mniejszy. Zaufanie do pieniądza niezachwiane. Administracja znacznie sprawniejsza. Spokój wewnętrzny zupełny — nie grożą ani zamieszki, ani wojna domowa. Imperium nietknięte. Dyscyplina pracy — dużo większa. Nie ma żadnych powodów, by Anglia miała się staczać ku ruinie i nędzy.

Kryzys jest wyolbrzymiany celowo przez szereg czynników. Przez sam rząd brytyjski, który chce przerazić Stany Zjednoczone i zmusić je do okazywania większej pomocy. Przez opozycję konserwatywną, która pragnie rząd obalić, a przede wszystkiem zmusić go do zaniechania dalszego upaństwowiania przemysłu, w pierwszym rzędzie stalowego. I wreszcie przez Stany, które chciałyby wymusić na Anglii wyrzeczenie się „preferencji imperialnej", systemu wzajemnych zniżek celnych pomiędzy Anglią i jej Dominionami.

Mimo to kryzys istnieje. Czy jednym ze środków zaradczych nie powinna być masowa emigracja z Anglii? Czy zatem emigracja do Anglii nie jest tylko chwilowym nieporozumieniem.

Są kraje czysto imigracyjne, Stany i Dominiony zamorskie, i kraje czysto emigracyjne, Polska w pierwszym rzędzie. Od 150 lat, w każdym pokoleniu, miliony naszych mieszkańców wyruszały — ze względów politycznych, gospodarczych albo pod przymusem, do wszystkich części świata. Jeżeli wśród Polaków uwzględnimy i polskich Żydów, dojdziemy do cyfr zawrotnych. Z tych wszystkich fal emigracyjnych, jedyne dotąd, które nie znikły bez śladu, a dla narodu stanowiły cenny kapitał rezerwowy — to ta we Francji i ta w Stanach. Dzisiaj taką trzecią oazą zagranicznej polskości możemy stworzyć — na stałe — w Anglii.

Tutaj potrzebna jest i emigracja i imigracja. Obydwie na wielką skalę. Anglik nie chce pracować w pewnych zawodach — przede wszystkiem na roli i w górnictwie. Dwa lata zachęty, podwyżek płac, skrócenia czasu pracy nie pomogły: Anglik nie chce do kopalni schodzić. I ucieka z pól do miasta. W górnictwie jest obecnie zatrudnionych 700 tysięcy ludzi, na roli około miliona. Normalnym, zdrowym objawem byłby odpływ tych ludzi za morze, ich miejsce powinni zająć cudzoziemcy. Z Anglii powinno odpłynąć kilka milionów ludzi, na obsłużenie ekonomicznej machiny brytyjskiej trzeba będzie zwerbować od miliona do dwuch cudzoziemców. Rząd angielski nie chce sprawy jasno postawić, kluczy. Utrudnia emigrację. Nie przydziela statków. W tej chwili oczekuje na transport do Kanady 400 tysięcy Anglików, na transport do Australii drugie tyle. Skoro cała ludność jest zatrudniona, taki ubytek pozostawiłby lukę. Musi być ona zapełniona.

Tak zresztą było tutaj zawsze. W ciągu ubiegłych 100 lat przeszło 5 milionów Anglików wyjechało za morza. Miejsce ich zajął silny przyrost naturalny (dzisiaj wynoszący normalnie około 250 tysięcy ludzi rocznie), oraz przypływ Irlandczyków — około miliona — i częściowo Żydów (kilkaset tysięcy). Dzisiaj rozrodczość Irlandczyków spadła, mają nadwyżkę nieznaczną, nie wchodzą poważniej w rachubę. Dawny filosemityzm angielski bardzo zmalał — zresztą Żydzi są imigracją specjalną. Trzeba więc sięgnąć po nowe źródła „manpower" (sił ludzkich).

Polacy nawet z uchodźcami z Niemiec, nawet w wypadku przerzucenia naszej emigracji z Francji, Belgii do Anglii, nie zdołają sami tych potrzeb zaspokoić. I obawiać się należy, że skończy się na sprowadzaniu Niemców. Indywidualny Niemiec doskonale pracuje. Że obecność pół miliona Niemców w Anglii nie przejdzie bez śladu — to oczywiste. Że ta obecność może stanowić dla naszych interesów na dłuższą metę poważne niebezpieczeństwo — to też, niestety, niesporne. Ci, co niechętnie patrzą na emigrację Polaków do Anglii powinni o tym pamiętać.

Im więcej Anglików wyemigruje do Kanady, Australii, Nowej Zelandii, Rodezji, Południowej Afryki itd. — tym większy luk powstanie tu dla przybyszów. Nacisk w tym kierunku jest tak silny, że perspektywy dla naszych emigrantów w Anglii wydają mi się ponętne. Będą mogli nie tylko istnieć — otworzą się dla nich liczne możliwości awansowania w drabinie społecznej.

Nawet gdy zmiana sytuacji politycznej w Polsce pozwoli na powrót wszystkich Polaków, pozostanie licznej stu-czy więcej tysięcznej Polonii w Anglii wydaje mi się dla naszych interesów korzystne. Stosunki między narodami wymagają dzisiaj związków jak najliczniejszych, ambasady i konsulaty podołać im same nie mogą. Jesteśmy zbyt ubodzy, by podróżować jako turyści, możemy podróżować tylko jako pracownicy. Od Anglików możemy się zawsze niezmiernie wiele nauczyć — w każdej dziedzinie. Związki małżeńskie polsko-angielskie mogą tylko wyjść nam na dobre.

Anglicy są zawsze z początku podejrzliwi. Gdy nasze wojska przybyły tu latem 1940 roku, wydały się tubylcom zrazu obce, dziwaczne. Ale gdy już w „Battle of Britain" nasi piloci pokazali, co potrafią, polski żołnierz uzyskał kredyt, który dotąd trwa. Dzisiaj Anglicy są jeszcze trochę sceptyczni, czy ten Polak, który się tak dobrze bije, równie dobrze pracuje. Trzymanie naszych ludzi w nieróbstwie przez rok po obozach zepsuło nam markę. Dzisiaj się gwałtownie poprawia, robotnik polski otrzymuje pochwały równie pochlebne, jak te, które zbierał w mundurze. Anglicy szanują porządną pracę. Praca stwarza tu prawa obywatelstwa. Ten egzamin zdamy też celująco.

Wreszcie my Polacy w Anglii mamy doniosłą misję „cywilizacyjną" wobec Anglików. Anglicy są dotąd zanadto wyspiarscy. Trzeba ich przyzwyczaić do obecności cudzoziemców, trzeba tu pokonać niechęć do obcych i tęsknotę do odosobnienia. To jest konieczne w interesie całej Europy. Pod tym względem widzę w Anglii olbrzymią zmianę od lat 20 i olbrzymią różnicę między Londynem a prowincją. Obecność Polaków we wszystkich częściach tej wyspy ułatwi Anglikom zrozumienie prawdy, że żyją w Europie, że oddzielić się od niej nie mogą i że ich własne losy są najściślej z przyszłością naszego kontynentu związane.

Przyspieszona sowietyzacja Rumunii

Paryż, w końcu sierpnia

Rosja sowiecka coraz bardziej zdaje się śpieszyć w swej akcji „glajchszaltowania" krajów okupowanych. Z tego punktu widzenia różnica między krajami okupowanymi — sensus stricte — a krajami sojuszniczymi, tj. Rumunią, Węgrami i Bułgarią z jednej strony, a Polską i Czechosłowacją z drugiej, jest stosunkowo niewielka.

„Zapóźnione" jest „zglajchszaltowanie" Czechosłowacji, ale — przy rosnącym napięciu międzynarodowym — należy powątpiewać, czy i tam w przyśpieszonym tempie nie nastąpią już w niedługim czasie podobne procesy. Przy podobieństwie metod w likwidowaniu przeciwników politycznych, ustaleniu kolejności uderzeń wobec istotnych i możliwych wrogów pomiędzy poszczególnymi krajami, zachodzi jedynie różnica w czasie.

Rumunia np., która jeszcze przed kilku miesiącami wydawała się stosunkowo szczęśliwszym wyjątkiem, dziś jest jednym z dalej posuniętych krajów w niszczeniu jakichkolwiek opozycyj politycznych. Fakt, że Czechosłowacja zachowała jeszcze nie tylko pozory parlamentaryzmu, ale także i rządy koalicyjne w niczym nie przesądza długotrwałości stanu rzeczy.

Istotniejsze różnice zachodzą zapewne w stopniu wyzysku gospodarczego. Tu kraje „sojusznicze" jak Polska i Czechosłowacja mają mimo wszystko stanowisko uprzywilejowane w stosunku do Węgier, Bułgarii, a zwłaszcza Rumunii.

Rumunię można wziąć jako jaskrawy przykład niszczących skutków współpracy gospodarczej z Rosją. Jest jasne, że równające w dół dążenia Rosji Sowieckiej zastosowane będą prędzej czy później do wszystkich krajów, które znalazły się za „żelazną kurtyną". Chociażby już ze względów wewnętrzno-politycznych, Rosja nie może pozwolić, aby w jej granicach, względnie w granicach jej systemu politycznego, znalazły się państwa, (czy grupy społeczne), które by swoją stopą życiową różniły się wybitnie od rozkosznych warunków, w jakich żyje obywatel sowiecki. Paradoksem, bynajmniej jednak nie niespodziewanym w warunkach polityki sowieckiej jest, że najbogatszy z krajów okupowanych, o największych w normalnych czasach nadwyżkach wywozu zboża czy kukurydzy — Rumunia, znalazła się już bodaj na poziomie bytowania „społeczeństwa sowieckiego", a całe jej prowincje uległy katastrofie głodu. Przytoczymy trochę liczb, które uwydatnią już nie tyle wyzysk, ile rozgrabienie Rumunii przez okupantów rosyjskich.

Rumunia w okresie między wojnami — kraj przed 1914 r. wybitnie rolniczy — miała jeden z najwyższych wskaźników wzrostu produkcji przemysłowej z pośród krajów europejskich. Przyjąwszy, iż produkcja przemysłowa w r. 1924 wynosiła 100, wskaźniki produkcji dla r. 1939 wynosiły: dla produkcji energii elektrycznej 375, dla surówki żelaznej 300, dla stali 365, wyrobów walcowanych 378, dla przemysłu włókienniczego 650, dla produkcji nafty 260 itd. Jednocześnie wywóz Rumunii opierał się o wywóz przede wszystkim zboża, nafty i drzewa. W szczególności — przyjmując rok 1938 — wywóz zboża stanowi 25% wartości wywozu, nafta 43%, drzewo 6%.

Jeszcze w okresie okupacji niemieckiej, która przetrwała tam okres 4-letni (1940 — 1944), Rumunia poddana planowemu wyzyskowi niemieckiemu nie wykazywała żadnych objawów rozkładu swojego gospodarstwa. Przeciwnie wytwórczość przemysłowa zachęcona koniunkturą wojenną wykazywała nawet wzrost, z wyjątkiem przemysłu naftowego. Olbrzymie ilości zboża, wywożone na potrzeby armii, a także do wygłodzonych Niemiec, nie powodowały żadnego głębszego kryzysu w kraju. Chłopi mogli jeść tyle co przed wojną, wprowadzony zaś w miastach system kartkowy działał nieźle. Dopiero przewrót w 1944 r. i okupacja sowiecka, która we wrześniu — październiku tego roku utwierdziła się w Rumunii, doprowadziła kraj ten w rekordowo krótkim czasie do zupełnej ruiny.

Punktem wyjścia dla gospodarki sowieckiej w Rumunii był podpisany 12 września 1944 r. „układ o rozejmie", który przewidywał odszkodowania w wysokości 300 milionów dolarów. Rumunia miała je zapłacić w ciągu 6 lat, przeważnie w towarach Rosji Sowieckiej. Postanowienie to uzupełnione było zresztą szeregiem innych postanowień jak np. zobowiązaniem się Rumunii do ponoszenia kosztów utrzymania wojsk okupacyjnych, które miały być zresztą wycofane po ustaniu działań wojennych. Dość niewinnie brzmiał punkt, iż Rumunia zobowiązuje się zwrócić wszystkie wywiezione z terenu Rosji Sowieckiej w czasie okupacji rumuńskiej urządzenia przemysłowe, maszyny, tabor kolejowy etc.

Nie zagłębiając się w szczegóły stwierdźmy, że Rosja, dzięki odpowiedniej wykładni układu o rozejmie wypompowała z Rumunii w ciągu niespełna lat trzech 1.300.000.000 dolarów.

Według obliczeń memoriałów, opracowanych przez czynniki rumuńskiej emigracji politycznej, jak najlepiej udokumentowanych, stwierdzić można, iż 1) tytułem odszkodowań Rosja uzyskała już obecnie owe 300 milionów dolarów w towarach. Ponieważ ceny w dolarach Misja Sowiecka obliczała według kursu cen światowych z r. 1938, które w stosunku do dolara uległy zwyżce conajmniej o 50%, Rumunia w praktyce zapłaciła 450 milionów. Tytułem zwrotu dóbr wywiezionych rzekomo przez wojska rumuńskie z Rosji, armia sowiecka zabrała maszyn, towarów i urządzeń wartości 130 milionów dolarów.

Koszt utrzymania wojsk sowieckich w Rumunii w tym okresie czasu przekroczył 375 milionów dolarów. Poza tym władze sowieckie zmusiły Rumunię do zaopatrywania oddziałów sowieckich, które przejeżdżały przez Rumunię tranzytem, a także do rozmaitych dostaw dla innych krajów, jak np. Węgier, Jugosławii czy Austrii, za co w drodze wyrównania Rosja otrzymała bezpośrednio towary w tych krajach wytwarzane. Komisja Sowiecka urzędująca w Rumunii zaliczała sobie te dostawy na rachunek „odszkodowań", które zresztą dawno były już przez Rosję przekroczone. Koszta z tego tytułu wynosiły około 300 milionów dolarów.

Na podstawie tworzonych kolejno we wszystkich podstawowych dziedzinach przemysłu rumuńskiego, jak nafta, produkcja drzewa, przewóz, bankowość, mieszanych towarzystw zwanych Sowromami, (np. Sowrom Petrol) przy całkowicie fikcyjnych „wkładach", polegających przeważnie na wnoszeniu do przedsiębiorstwa skonfiskowanego poprzednio majątku niemieckiego w Rumunii — otrzymały Sowiety 50% własności tych przedsiębiorstw, kierujących samowolnie lub nadzorujących cały niemal przemysł danej gałęzi produkcji. Oczywiste, istotna decyzja mimo owych 50%, leżała w całości w rękach sowieckich, które wydawały polecenia zgodnie z interesem Rosji, a nie kraju okupowanego.

W tych okolicznościach bogate gospodarstwo rumuńskie uległo zupełnej ruinie. Rumunia jest jedynym krajem w Europie, w którym produkcja 1946 r. jest niższa od produkcji 1945. W tym samym okresie czasu zbiory pszenicy uległy obniżeniu przeszło 55%, zbiór kukurydzy o niespełna 50%. Handel zagraniczny Rumunii nie istnieje, gdyż przeszło 99% wywozu rumuńskiego idzie do Rosji, przeważnie z różnych tytułów darmowych.

Rumunia jest też jedynym krajem w Europie, (poza Rosją Sowiecką), który na przednówku 1947 przeszedł przez prawdziwą klęskę głodową. Nie ma dokładniejszych obliczeń ilości ofiar głodu, faktem jest jednak, że w niektórych miastach i wsiach mołdawskich około 99% dzieci poniżej lat 2, zmarło śmiercią głodową. Inflacja pieniądza dosięgła niemal rozmiarów węgierskich, rujnując tym bardziej jeszcze i tak już zrujnowane społeczeństwo rumuńskie. W chwili wprowadzenia nowej monety „leo" zamiast „lei", wskaźnik cen wynosił 4400, przyjmując sierpień 1939 za 100.

Taki jest w wielkim skrócie obraz położenia gospodarczego Rumunii. Nie przeszkadza to rządzącym komunistom składania przy każdej sposobności hołdu Moskwie, mimo, że od ostatecznej klęski głodowej na wiosnę 1947 uratowało Rumunię 700.000 ton zboża dostarczonego przez Stany Zjednoczone i dotychczas jeszcze nie zapłaconego przez zrujnowany skarb rumuński.

Położenie polityczne kraju jest równie tragiczne, jak jego ruina gospodarcza. Jak to już kiedyś pisaliśmy w „Orle Białym", Rumunia przebrnęła stosunkowo szczęśliwie okres wojenny. Wprawdzie armia rumuńska poniosła ciężkie straty na froncie, ale działania wojenne oszczędziły kraj, nie przynosząc jej ani takich klęsk, jak Polsce, ani takiego nieszczęścia, jak rozgrabienie niemal doszczętne przez wkraczającą armię sowiecką całego kraju, co na jesieni 1944 r. spotkało Węgry.

Utworzony na jesieni 1944 r. rząd generała Sanatescu a następnie Radescu przy nieznacznym wpływie komunistów, starał się obronić Rumunię od samowoli władz okupacyjnych, i próbował nastawić się na rolę „pomostu pomiędzy Wschodem a Zachodem". Opór polityczny czynników rumuńskich był tak silny, iż komuniści rumuńscy musieli odwołać się do jawnej pomocy Moskwy. Wyszyński dokonał zamachu stanu 6 marca 1945 r., narzucając Rumunii rząd komunistyczny Grozy; jak widać nie zawsze etapy rozwojowe akcji sowieckiej w nieszczęsnych krajach Środkowej Europy były równomierne; analogiczny choć mniej pokazowy zamach stanu na Węgrzech, usuwający premiera Nagy, nastąpił dopiero w lipcu 1947, a więc przeszło dwa lata później.

Pierwsze okresy rządu Grozy nie odznaczały się szczególną napastliwością. Opozycyjnym stronnictwom politycznym uniemożliwiono wprawdzie działalność polityczną i zawieszono dzienniki niezależne, ale masowych prześladowań rząd nie stosował. Nawet w wojsku pozostawiono pewną ilość dawnych oficerów, a najmniejszy zapał reformatorski cechował Ministerstwo Oświaty. Skomunizowanie ciała profesorskiego i nauczycielstwa nie robiło widocznych postępów.

Okres od stycznia 1946 do sierpnia tego roku cechował jeszcze bardziej podkreślony liberalizm. Wtedy to na skutek postanowienia konferencji moskiewskiej w styczniu 1946 powołano do rządu po jednym przedstawicielu partii narodowo-chłopskiej i jednym partii narodowo-liberalnej. Stronnictwa te reprezentowały wprawdzie 90% wyborców, ale możnaby tę nieznaczną rekonstrukcję gabinetu uważać za pewien postęp, gdyby opozycja uzyskała istotnie możliwości propagandy i działania.

Zrazu zachowywano pewne pozory. Pojawiły się dzienniki opozycyjne i cenzura nieco złagodniała. Dopiero bezpośredni okres przedwyborczy w listopadzie 1946 przyniósł zaostrzenie walki z opozycją. W przeciwieństwie jednak do innych krajów, jak np. do wyborów w Polsce, nacisk na wyborców był stosunkowo mały: rząd ograniczył się do zorganizowania masowych fałszerstw już po wrzuceniu kartek wyborczych do urny. W wyborach tych „przydzielono" partii narodowo-chłopskiej 32 mandaty, partii narodowo-liberalnej 3, partii chłopsko-demokratycznej 2. Blok rządowy zapewnił sobie 348 mandatów, a komunistycznej unii węgierskiej 29 mandatów.

Na skutek wyniku wyborów obaj ministrowie „opozycyjni" ustąpili z rządu. Komuniści i tym razem jednak nie śpieszyli się z ostatecznym unieszkodliwieniem opozycji. Jak sądzić można z informacji, które nadchodziły z Bukaresztu, przywódcy komunistyczni zdając sobie sprawę ze słabości własnej partii, i z nienawiści, jaką ją otaczało społeczeństwo, odkładali wciąż chwilę rozprawy z przywódcami opozycyjnymi.

Dopiero zaostrzenie położenia międzynarodowego, coraz wyraźniejsze tworzenie się bloku zachodniego, konieczność oczyszczenia z czynników niepewnych ewentualnych „tyłów wojennych" doprowadziły na przestrzeni około 2 miesięcy do rozstrzygających uderzeń przeciwko opozycji na Węgrzech, w Rumunii i w Bułgarii. Miało ono, jak wiadomo, swoje echo także i w Polsce.

Likwidacja opozycji w Rumunii ma charakter masowy i powszechny. Około 4.000 osób, reprezentujących elitę opozycji, a zwłaszcza partii narodowo-chłopskiej, znalazło się w więzieniu. W dniu 15 lipca w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach aresztowano 7 wybitnych przywódców Partii Chłopskiej z pp. Mihalahe, Penescu i Carandino na czele, rzekomo przygotowujących się do ucieczki samolotem, który miał być skierowany na Stambuł. Wreszcie 18 lipca dokonano posunięcia najważniejszego: uwięziono przywódcę stronnictwa p. Maniu, którego dzięki jego ogromnej popularności nie odważyli się aresztować w okresie czteroletniej okupacji Niemcy, mimo iż był on jawnym przywódcą opozycji antyniemieckiej.

Dotychczas jeszcze oszczędzana jest częściowo partia narodowo-liberalna, z sędziwym przeszło 80-letnim przywódcą p. Bratianu. Wychodzi nawet dotychczas organ tego stronnictwa „Liberalul". Na wolności znajduje się także przywódca opozycji socjal-demokratów Petrescu.

Wreszcie formalnie na czele państwa stoi wciąż król Michał, który po raz drugi zerwał styczność z rządem Grozy na skutek aresztowania p. Maniu. Bardzo mało jest jednak prawdopodobne, aby ten stan rzeczy dał się zbyt długo utrzymać.

Likwidacja partii narodowo-chłopskiej i jej przywódcy p. Maniu jest tylko etapem na drodze do dalszej sowietyzacji okupowanej Rumunii.

Zastępca

Berlin w sierpniu 1947 r.

Pomiędzy Frankfurtem w strefie amerykańskiej Niemiec, a Berlinem (Wansee) krąży specjalny pociąg tranzytowy, na wzór połączeń kolejowych, jakie istniały przed wojną z Rzeszą Niemiecką do Prus Wschodnich poprzez polskie Pomorze.

Takim pociągiem berlińskim opuszczamy Frankfurt przed wieczorem. Początkowo pędzi on wśród malowniczych krajobrazów Niemiec zachodnich, zlekka falujących, poprzecinanych dolinami rzek. Duże obszary pokryte lasami, pełno bujnych sadów owocowych i ogrodów oraz dobrze uprawnych pól, o żyznej glebie gliniastej. Patrząc na te krajobrazy wiejskie, migające z okien wagonu, zapomina się na chwilę o spustoszeniach, jakich w tym kraju dokonała wojna. Dopiero, kiedy pociąg z łoskotem mija węzły kolejowe oraz większe osady i miasteczka fabryczne, staje przed oczami cały ogrom zniszczenia wojny totalnej — sterczą nagie szkielety domów i kominów fabrycznych, szczątki dworców i urządzeń kolejowych.

Mijamy starożytne miasto uniwersyteckie Marburg, położone w jednej z najbardziej malowniczych okolic — w dolinie rzeki Lahn, z pięknym średniowiecznym zamkiem na stromej wyniosłej górze. Zaczyna zapadać zmrok. Powoli układamy się do snu.

Rankiem dnia następnego budzimy się już w strefie sowieckiej. Jesteśmy na terenie Brandenburgii. Krajobraz tu całkowicie odmienny, monotonny, płaski, melancholijny. Gleba piaszczysta, miejscami podmokła, gdzieniegdzie zagajniki sosnowe i jeziorka. Na stacjach kolejowych widać już wojskowych sowieckich w długich juchtowych butach, granatowych spodniach z czerwonymi wypustkami i „gimnastiorkach". Na szerokim nasypie pozostał tylko jeden tor kolejowy — tor drugi równoległy został przez Rosjan rozebrany i wywieziony na rachunek odszkodowań niemieckich. Mijamy mocno zniszczony Poczdam i pociąg staje u celu podróży na południowo-zachodniej podmiejskiej miejscowości Berlina, w Wansee w „sekcji" amerykańskiej.

Jest piękny słoneczny poranek lipcowy. Wysiadłszy z pociągu ruszamy w kierunku Berlina autobusem wojskowym szosą poczdamską. Zrazu na wstępie wita nas pośrodku autostrady dużych rozmiarów pomnik — czołg sowiecki, ustawiony na kamiennym podmurowaniu, na którym błyszczą w słońcu złote litery napisów na cześć zdobywców Berlina.

Pierwszym wrażeniem przy wjeździe na przedmieścia stolicy Niemiec jest, że widać tu stosunkowo mało zniszczeń, gdzieniegdzie jakiś dom zwalony, bez mała, jak na Oxford lub Piccadilly. W miarę tego jednak, jak posuwamy się bliżej śródmieścia, ślady bombardowań i walk ulicznych są coraz liczniejsze, wrażenie zniszczenia i pustki stopniowo się potęguje. Całe ulice, a właściwie całe dzielnice leżą w gruzach. Bez przesady można stwierdzić, że środek Berlina jako miasto praktycznie nie istnieje. Nie widać też żadnych prób odbudowy lub uprzątania zwalonych rumowisk.

W wyobraźni nasuwają się obrazy ruin Warszawy. I w tym momencie mimowoli, obok zrozumiałego uczucia „Schadenfreude" przychodzi głębszy namysł, że jednak istnieje jakaś Nemezis dziejowa, która wcześniej lub później wymierza sprawiedliwość i karę za popełnione zbrodnie wobec całych narodów. Berlin i Niemcy są tego wymownym przykładem..

Po obejrzeniu Berlina pierwszego dnia z okien taksówki, jakby z lotu ptaka, dni następnych zaczynamy wędrówkę pieszo, oglądając dokładniej poszczególne części stolicy Rzeszy.

Przechodzimy koło zniszczonych obecnie gmachów polskiej ambasady i konsulatu przy Kurfürstenstrasse. Zostały tylko mury zewnętrzne — wnętrza dokładnie wypalone. Mijamy w zupełnej ruinie „Gedächtniskirche" z całą dzielnicą wokoło, Zoo z resztkami zdychających z głodu okazów egzotycznej fauny, wkraczamy na teren Tiergarten. Cały park został nie do poznania zupełnie zmasakrowany. Tu i owdzie tylko sterczą pnie postrzępionych i popalonych drzew, widoczne ślady okopów, schronów, walki pozycyjnej. Miejscami na tym pobojowisku wygłodniały mieszkaniec stolicy zakłada ogródki, kopie grzędy, sadzi warzywa. Jest to jedyny ślad życia wśród tego pustkowia.

Od strony Zoo po obu brzegach „Landwehrkanal" — wznoszą się jeszcze dumnie dwa szaro zielone schrony — fortece niemieckie, w których oddziały „Reichswehry" i „S.S." broniły się do ostatka. Żelazno-betonowa budowa schronów zdołała się oprzeć skutecznie niszczycielskiej potędze broni nowoczesnej. „Bunkry" stoją prawie nietknięte, zlekka tylko podrapane i poznaczone kulami armatnimi i karabinowymi. Obok mały cmentarzyk obrońców, kilkanaście krzyży, trochę świeżych kwiatów, kilka klęczących postaci kobiecych. Jestem pod wrażenie tego widoku.

Fabryka „Askania" w amerykańskiej strefie Berlina podejrzana o dostarczanie materiału wojennego armii sowieckiej

Ironia losu ocaliła wśród tego chaosu zniszczenia znaną kolumnę zwycięstwa, ulaną z armat francuskich, zdobytych w kampanii 1870/71 roku. Na szczycie kolumny powiewa trójkolorowa chorągiew francuska. Zatknęli ją tam widocznie Anglicy giestem uprzejmości wobec Francji, gdyż kolumna stoi na terenie okupowanym przez Brytyjczyków.

Posuwamy się w kierunku bramy Brandenburskiej. Zdala na lewo rysuje się sylwetka „Reichstagu", podziurawiona jak sito od pocisków. Zwraca też naszą uwagę nowy pomnik zwycięstwa na chwałę armii czerwonej, zbudowany niezwłocznie po zajęciu Berlina przez Rosjan, zanim zdążyli tu przybyć sprzymierzeńcy zachodni i zająć tę część miasta. U stóp pomnika wieńce świeżych kwiatów i dwóch wartowników sowieckich na baczność. Obok luźne grupki żołnierzy czerwonej armii, najwidoczniej wycieczkowiczów. Wojskowi przeważnie bardzo młodzi, starannie umundurowani. Jeden z nich „praporszczyk" z jedną gwiazdką na złotych naramiennikach, z uśmiechem pozuje do fotografii i przygląda się z zaciekawieniem. Jest to być może, pierwsze tego młodzieńca z nad Wołgi zetknięcie z przybyszami z zachodu. Odnoszę wrażenie, iż chętnie wdałby się z nami w pogawędkę.

Tymczasem słońce coraz mocniej dopieka, dzień staje się bardzo upalny. Toteż dosłownie w pocie czoła przekraczamy bramę Brandenburską i wchodzimy na teren okupacji sowieckiej „Unter den Linden". Po obu stronach ulicy sterczą fasady zrujnowanych i wewnątrz zupełnie wypalonych gmachów. Poznaję ruiny Adlonu, biblioteki, uniwersytetu, opery. Ruchu żadnego, martwa cisza w tej tak niegdyś ruchliwej i ludnej części Berlina. Gdzieniegdzie tylko błąkają się wychudzone i nędznie odziane postacie tubylców, polujące na Amerykanów, aby wymienić na papierosy pocztówki z widokami Berlina przedwojennego i... nie Berlina.

Od zamku zawracamy ulicą Francuską, mijamy zburzoną Friedrichstr., przechodzimy koło ruin „Kaiserhofu". Celem naszej wędrówki na dzisiaj jest Kancelaria, gdzie Hitler u szczytu potęgi snuł swoje zbrodnicze plany panowania nad światem. Tam spędzał swoje ostatnie godziny, z Kancelarią związana jest tajemnica jego zgonu i zniknięcia.

Toteż nie bez pewnego skupienia przekraczamy progi słynnej Kancelarii. Przed oczami wyobraźni staje mimowoli wizja niedalekiej przeszłości i obraz tragedii, jaka się w tych potężnych murach rozegrała. Dziś stoją tu tylko ogołocone i popękane ściany półtorametrowej grubości, potrzaskane mury i posadzki, powypalane draperie, zwęglone ślady wielkiego ongiś przepychu i bogactwa. Teraz wszędzie pustka i cisza. Dopiero na odgłos naszych kroków wychyla się z jakiegoś zakamarka niemiecki policjant przewodnik i zaczyna oprowadzać po tym labiryncie sal, korytarzy, galerii — tu Führer urzędował, tam przyjmował dyplomatów zagranicznych, tu była poczekalnia ambasadorów, tam sala bankietowa.

Schodzimy na taras i przez ogród idziemy w kierunku podziemnego schronu Hitlera, świadka jego tragicznego końca. W tym schronie w dniu 30 kwietnia 1945 roku, kiedy wojska rosyjskie już w walce wdzierały się na Friedrichstrasse Hitler miał spożywać swój ostatni posiłek, po czym nastąpiło krótkie pożegnanie z najbliższym otoczeniem. W chwilę potem Hitler strzałem z rewolweru w usta pozbawił się życia, a Ewa Braun spożyła truciznę. Zwłoki obojga SS-mani wynieśli do ogrodu Kancelarii. Nasz przewodnik wskazuje miejsce tuż przy wejściu do schronu, gdzie zwłoki te oblano naftą, a następnie spalono. Przewodnik dodaje, że po zakończeniu walk przybyła tu na miejsce do Kancelarii specjalna komisja sprzymierzonych, która przeprowadziła szczegółowe badania i rozkopywała ziemię wokoło schronu, szukając śladów spalonych zwłok Hitlera. Podobno nic nie znaleziono.

Od tego czasu widać, że nikt tu nie próbował robić ani żadnych porządków, ani usuwać rumowisk i zwykłych śmieci. Wszystko pozostało tak, jak było przed dwoma laty. Tylko chwasty dziko porastające ogród — cmentarzysko Kancelarii, dopełniają obrazu opuszczenia i są wykładnikiem minionego czasu.

Czy na tle tych ruin i tragicznego zgonu Hitlera naród niemiecki snuć będzie jakąś legendę — przyszłość pokaże. Dziś nic nie wskazuje na to, aby taka legenda miała powstać. Wydaje się, że naród niemiecki, jako zbiorowość ma jedynie kult dla wodzów zwycięskich. Wodzowie pokonani idą w zapomnienie.

Wśród ciszy ruin dochodzą tylko dalekie odgłosy ruchu na przedmieściach stolicy. Słońce chyli się już ku zachodowi. Czas i na nas. Rozmyślając o tym, jak to przemija „chwała tego świata" wolnym krokiem zadumani idziemy w kierunku naszych kwater.

ST. Gł.

Starzy znajomi

(P) Coraz więcej wspomnień z okresu sowiecko-hitlerowskiej współpracy, przerwanej — nie z winy Moskwy — rozpętanym szaleństwem niemieckiej zaborczości. Oto co pisze „Times" z okazji ogłoszenia przez Admiralicję dokumentów, zdobytych na marynarce niemieckiej:

„Dokumenty ujawniają — o czym wiedziano swego czasu, ale o czym potem, zdaje się, w dużej mierze zapomniano — istotną pomoc, jaką otrzymały Niemcy w tym okresie od Rosji. Räder notuje dn. 10 października (1939), że Rosjanie zaofiarowali zatokę koło Murmańska jako wysuniętą bazę morską, że przygotowano uzbrojony statek handlowy i że niemiecki statek do napraw miał być tam stacjonowany. Chciał on (Räder) dostać — przypuszczalnie drogą kupna — kilka łodzi podwodnych od Rosji, która jakoby miała ich posiadać znaczną ilość; Hitler jednak nie zgodził się na to, częściowo dla tego, iż sądził, że okręty rosyjskie były prawdopodobnie w kiepskim stanie, ale głównie dlatego, aby uniknąć przyznania się do jakiejkolwiek słabości ze strony Niemiec".

B. podsekretarz Stanu p. Sumner Welles pisze w „New York Herald Tribune":

„Jak się wydaje, zapomnieliśmy już o tym, że gdyby nie pakt z Rosją, Japonia nie byłaby wtedy ośmieliła się zaatakować Pearl Harbour".

Tak to „ręka rękę myła".

UWAGI POZJAZDOWE

Odbyty w Londynie dn. 18, 19 i 20 sierpnia br. I Zjazd Delegatów SPK Oddział W. Brytania miał do spełnienia dwa główne zadania: 1) uporządkować sprawy wewnętrzno-organizacyjne oraz 2) nadać tej organizacji charakter i określić jej postawę zasadniczą.

Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o pierwsze zadanie, to sytuacja Oddziału W. Brytania SPK była i jest w dalszym ciągu bardzo trudna. Nieuregulowana strona prawno-organizacyjna, brak statutu, brak podziału pracy i kompetencji między władzami centralnymi a władzami oddziałowymi, tymczasowość powoływanych drogą nominacji władz, płynność stosunków wśród kół SPK na tle przechodzenia żołnierzy do życia cywilnego — oto bodaj najważniejsze cechy charakterystyczne sytuacji, w jakiej odbył się Zjazd Delegatów.

Pierwszym zewnętrznym objawem tego stanu rzeczy było stosunkowo nieliczne obesłanie Zjazdu przez Koła. Jeśli na 248 Kół (według sprawozdania Tymcz. Kom. Organ.) zjawiło się na Zjeździe tylko 120 delegatów, a więc mniej niż połowa, to fakt ten rzuca bardzo znamienne światło na zainteresowanie samym Zjazdem. Drugim objawem jest uzewnętrzniony spadek liczby członków. Spadek ten, aczkolwiek według sprawozdania, stosunkowo niewielki, jest już sam przez się objawem niezdrowym, nawet gdyby istotnie wynosił tylko tyle, ile wykazują cyfry sprawozdania. Ale w rzeczywistości sprawa przedstawia się gorzej, gdyż podane ilości nie są dokładne, natomiast dane dotyczące wpłacania składek pozwalają wnioskować, że liczba członków dużo bardziej zmalała, niż by to wynikało ze sprawozdania. Trzecim objawem jest wprost zastraszająco mała liczba Kół nieobozowych. Jeśli się zważy, że już koło 50% ludzi z PKPR zostało zatrudnionych w życiu cywilnym, to fakt, że nie znalazło to swego odbicia w tworzeniu odpowiednich kół terenowych (cywilnych), jest również bardzo znamienny.

Byłoby rzeczą zupełnie bezcelową szukanie „kozła ofiarnego" i zwalanie całej winy za istniejący stan rzeczy na jednego człowieka czy nawet instytucję. Przyczyn należy szukać głębiej i szerzej, niż to robili niektórzy (na szczęście nieliczni) mówcy poszukujący łatwych sukcesów.

Ważniejszą natomiast jest rzeczą, czy organizatorzy Zjazdu oraz sam Zjazd zdawał sobie wyraźnie sprawę z doniosłości sytuacji oraz tkwiących w niej niebezpieczeństw. Jeśli chodzi o Tymcz. Kom. Organ., który przygotował Zjazd bardzo dobrze zarówno pod względem technicznym jak i rzeczowym, to wykazał on całkowite zrozumienie sytuacji występując z dobrze przemyślanymi wnioskami na przyszłość. Jeśli zaś chodzi o sam Zjazd — to cała strona organizacyjno-wewnętrzna była jego główną troską i znalazła dobre oświetlenie w dyskusji oraz w uchwalonych wnioskach.

Jest rzeczą prawie niemożliwą omówić wszystkie zapadłe uchwały w dziedzinie organizacyjnej, można jednak ogólnie stwierdzić, że zapadłe decyzje dają możność uporządkowania nowo-obranym władzom tej strony życia Oddziału W. Brytania. Dają możność — ale tylko do pewnego stopnia, gdyż bardzo wiele (a może głównie) zależy od środków, którymi te władze będą rozporządzały.

Tu dochodzimy do rzeczy najistotniejszej — tzn. do możliwości urzeczywistnienia tego, co stanowi główny sens istnienia SPK. Dwa czynniki wysuwają się na plan pierwszy: podział kompetencji między władzami centralnymi a władzami Oddziału W. Brytania oraz sprawa środków materialnych. Tych dwu zadań Zjazd nie rozwiązał — co nie jest zresztą jego winą. Muszą być one załatwione przez nowo-obrane władze, które również nie są jedynym i ostatecznym czynnikiem decydującym. Jeśli chodzi np. o podział kompetencji, to sprawa ta musi być załatwiona z władzami centralnymi, które jak dotychczas przynajmniej nie wykazały poza dobrą wolą ani sprężystości działania, ani zdolności do decyzji.

Trudność sytuacji nowych władz powiększa również fakt, że Zjazd, świadomie lub nieświadomie, stanął w swoich postanowieniach na stanowisku maksymalistycznym, tzn., że w uchwałach swych nie liczył się zupełnie z możliwością ich wykonania. Jeśli sprawa była w zasadzie słuszna — uchwalono ją, czasami w formie dezyderatu, ale najczęściej w formie wniosku czy żądania. Jeśli zważymy szczupłość środków materialnych oraz niewielką ilość ludzi przygotowanych do tego typu pracy, to łatwo sobie wyobrazić, że tylko drobna cząstka z wniosków uchwalonych będzie mogła być urzeczywistniona. Rozczarowanie płynące z rozbieżności między zamierzeniami a dokonaniami może się stać poważnym czynnikiem rozkładowym.

W ten sposób dochodzimy do drugiego zadania, które miał spełnić Zjazd, a mianowicie do nadania organizacji określonego oblicza. Czy można dzisiaj, po Zjeździe, powiedzieć, że oblicze i postawa Oddziału W Brytania S.P.K. została skrystalizowana?

Jak zwykle w takich wypadkach istnieją dwie strony tego zagadnienia: wnioski ogólne, uchwalane po starciu się różnych poglądów oraz rzeczywistość tzn. sama realizacja.

Jeśli chodzi o sam przebieg obrad, to nie uwydatniło się w nich szerokie zrozumienie tego zagadnienia w sensie pozytywnym, a przynajmniej nie znalazło to swego uzewnętrznienia w dostatecznym stopniu. Wynikało to z kilku przyczyn, a jedną z nich niewątpliwie był skład osobowy samego Zjazdu. Dało się bowiem wyraźnie wyczuć, że dla kilku, bardziej wyrobionych wiecowo mówców główną troską było uzyskanie popularności, którą zawsze łatwiej uzyskać drogą krytyki niż pozytywnych wskazań.

Niektórzy z nich grając na czynniku nieufności posuwali się tak daleko, że jeszcze przed obraniem nowych władz, nie wiedząc kto do nich wejdzie, już z góry odmawiali im swego zaufania. Niektórzy z nich — typowym zwyczajem londyńskich „przepracowanych społecznie" działaczy — ograniczali się do wypowiedzenia swej mowy i czym prędzej opuszczali salę, nie słuchając tego, co mówią inni mówcy. Niektórzy sprawiali wrażenie, że główną ich troską jest niedopuszczenie do uchwał, które by stały w sprzeczności z otrzymanymi z zewnątrz instrukcjami partyjnymi.

Wszyscy ci „niektórzy" (na ogół raczej nieliczni) nie byli elementem pozwalającym pozytywnie rozwiązać podstawowe zadania Zjazdu, tzn. nadanie Stowarzyszeniu określonego oblicza. Istotni pracownicy terenowi, mniej wyrobieni jako mówcy, wnieśli coprawda nowe elementy do dyskusji, wykazując, że są inne ważniejsze problemy niż ciągłe roztrząsanie „kryzysu zaufania", ale nie nadali oni wyraźnego charakteru Zjazdowi.

Być może, że należałoby wyciągnąć na przyszłość wniosek, który niedługo, bo już za kilka miesięcy będzie aktualny, aby Koła delegatami swymi czyniły ludzi pracujących rzeczywiście w terenie, a nie zawodowych „społeczników", pragnących wprzągnąć S.P.K. w służbę partyjną.

Te spostrzeżenia, dotyczące roli niektórych delegatów, nie wyczerpują oczywiście całości przyczyn, dlaczego Zjazd nie skrystalizował oblicza Stowarzyszenia. Jest rzeczą możliwą, że na pewne sformułowania jest jeszcze za wcześnie, że się jeszcze nie wszystko przepaliło w nas samych, że na to trzeba — czasu.

Dużą rolę w formułowaniu oblicza Oddziału W. Brytania odegra niewątpliwie najbliższy okres, w ciągu którego przejawi się konkretna działalność tego Stowarzyszenia. Szeroki wachlarz uchwał, wniosków i dezyderatów — daje przeróżne możliwości pod tym względem.

Mimo tych wszystkich krytycznych uwag, trzeba stwierdzić z całą stanowczością, że I Zjazd Delegatów Oddziału W. Brytania stanowić będzie przełomową datę w rozwoju SPK.

Tadeusz Born

Ostrożność, która zabija

„Caution that kills" pod tym tytułem ogłosił niedawno „Observer" artykuł tak znamienny, że zawsze nie dość będzie komentarzy do niego. Słowa „caution" nie sposób przetłumaczyć na język polski. Jest to równocześnie „ostrożna podejrzliwość", „wyrachowane niezdecydowanie" i „życzliwa niechęć".

„Gdy Briand w r. 1930 przedłożył projekt Europejskiego Związku Federalnego — pisze „Observer" — Foreign Office ustaliło, „że Rząd Jego Królewskiej Mości odniesie się do propozycji p. Brianda z ostrożnością, jakkolwiek z serdeczną ostrożnością i po takim odniesieniu się „z serdeczną ostrożnością" zabił on projekt „na martwy głaz", zanim ktokolwiek mógł się zorientować co się stało".

Obecnie, zdaniem „Observera", zaczyna się dziać podobnie, jeśli chodzi o stosunek W. Brytanii do sprawy Związku Europejskiego. Anglia instynktownie boi się wiązać całkowicie z jednym z bloków. Pragnie zachować możliwość manewru między Wschodem i Zachodem.

W pomysłach angielskich zwycięża więc co-pewien czas idea pośrednictwa bez możliwości jednak poparcia jej siłą. Jest to bardzo konserwatywne. Pośrednik musi traktować obie strony równo. Ponieważ W. Brytania nie może wojować ze Stanami, powinna więc znaleźć się również w niemożliwości szybkiego wojowania z Sowietami. Ograniczenia liczebne sił W. Brytanii znajdują pełne uzasadnienie w braku rąk roboczych do wykonywania założonych planów produkcyjnych.

Wiemy, że Sowiety wyjątkowo nieżyczliwie odnoszą się do wszelkich pośrednictw i pośredników. Demonstrowanie zaś odwrotu strategicznego Anglii może je doprowadzić do takiego rozzuchwalenia, że już na żadne pośrednictwo nie będzie miejsca.

O wiele ważniejsze są natomiast reakcje opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych na takie a nie inne zachowanie się W. Brytanii wobec widoków możliwości wojny dyplomatycznej, a nawet starcia zbrojnego.

Nastroje społeczeństwa są rozstrzygającym czynnikiem w polityce amerykańskiej. Zapewne żaden amerykański mąż stanu nie bierze na serio oskarżeń, wychodzących z pewnych kół brytyjskich, o „imperializm dolarowy". Występy zaś angielskiej frondy lewicowej obliczone są na Moskwę, aby udowodnić, że i w Anglii są ludzie podzielający jej pogląd na „arcykapitalistów" amerykańskich.

ANGLIA A PLAN MARSHALLA

Gorzej jest, gdy za nieurzędowymi słowami idą urzędowe czyny, a na to właśnie — jak „Observer" ostrzega — zanosi się w sprawie planu Marshalla. Plan ten obliczony był przez Amerykanów nie tylko na poprawienie interesów kontynentu europejskiego, ale również, a może przede wszystkim, na poprawienie interesów W. Brytanii. Doświadczenia dokonane po poprzedniej wojnie na Niemcach przekonały Amerykanów, że źle jest pompować pieniądze do przeinwestowanego państwa przemysłowego, nie finansując równocześnie jego rynków zbytu.

Kontynent europejski zabierał przed wojną 31% angielskiego wywozu i świetnie uczestniczył w uzupełnianiu wyżywienia Zjednoczonego Królestwa. O ileby rzeczywiście poważne kredyty na odbudowę i kapitalne inwestycje udzielone zostały Europie, to jej udział w wywozie angielskim mógłby wzróść do jego połowy, tj. gdyby cała Europa te kredyty otrzymała i mogła za nie kupować obok amerykańskiego — również i towar angielski.

W. Brytania uroczyście i z naciskiem wzięła do spółki z gospodarzem francuskim kierownictwo prac Konferencji paryskiej, która miała dać jasną, wyraźną i całkiem niedwuznaczną odpowiedź Amerykanom, jaką formę konkretną przyjąć ma współpraca europejska, co i ile towarów, czy usług, każdy z krajów może i chce postawić innym krajom Europy do rozporządzenia, jakie inwestycje są konieczne, aby wydajność pracy europejskiej powiększyć i jaka winna być ich kolejność, ile kraje europejskie pracy i urządzeń dostarczą same, a ile uzupełnień napłynąć musi z krajów zamorskich, jakie są w dolarach ogólne kwoty potrzebne do osiągnięcia równowagi europejskiej i, co dla Amerykanów jest sprawą istotną, jak wysoką będzie siła nabywcza odbudowanego Kontynentu, a dzięki jego zakupom w Anglii — również zrównoważonego gospodarczo Zjednoczonego Królestwa.

Tymczasem z Paryża nadchodziły coraz mniej wyraźne wiadomości. Ze strony Francji, Belgii i Holandii wysunięto szereg pierwszorzędnej wartości inicjatyw, co do których delegacja angielska nie miała dostatecznych instrukcji. Czyżby stanowisko W. Brytanii do odbudowy Europy po zniszczeniu potęgi niemieckiej a zagrożeniu przez rosyjską dziś było jeszcze takie same jak w czasach napoleońskich, czy chociażby w czasach walki wyborczej Bonnar Law — Asquith i jak je określił lord Roseberry?

„Observer" ostrzega:

„Plan Marshalla wspólnej europejskiej odbudowy z poparciem amerykańskim jest nie tylko najlepszą, ale obecnie jedyną drogą wyjścia z naszych własnych trudności. Jest brakiem poczucia odpowiedzialności bajdurzyć, jakobyśmy mogli sobie pozwolić na jego ominięcie i żywić nadzieję na ocalenie bez pomocy amerykańskiej albo też czekać na amerykańską pomoc udzieloną poza kolejką".

„W ostatnich kilku tygodniach rząd i naród pozwalali sobie na niebezpieczne sny na jawie — sny niemniej niebezpieczne, że purytańskie, masochistyczne i pesymistyczne".

Rzeczywiście sen o samostarczalności finansowej przy pomocy obcięcia racji żywności, dolarów za kino, tytoń itd., a przy równoczesnym katastrofalnym spadku wydobycia węgla w lipcu i sierpniu i przy niepewności wywozu do Europy — są mocno niebezpieczne. W jednym zdaje się „Observer" przesadził, tj. w tym, że Amerykanie nie dadzą pomocy W. Brytanii poza kolejką.

Dadzą zawsze w ten czy w inny sposób, ile będzie potrzeba, chyba by zupełnie zniechęcili się do tej „cordial caution", która zabija niejedną zdrową inicjatywę.

A. Plutyński

Życie kulturalne w Kraju

O NOWY „MODEL KULTURALNY“ POLSKI

„Kuźnica“, bojowy organ komunistów w Polsce, od pewnego czasu prowadzi na swych łamach dyskusję o przebudowie życia kulturalnego. Poza przytaczanymi już przez nas atrykułami prof. Chałasińskiego i Stefana Jędrychowskiego na temat tzw. reformy uniwersytetów — dwa kolejne numery tygodnika (27 i 28) przynoszą zasadnicze wypowiedzi Stefana Żółkiewskiego i Władysława Bieńkowskiego o „polityce kulturalnej“.

Zapowiadany jest również ogólnopolski Kongres Kultury, organizowany przez Centralną Komisję Związków Zawodowych w porozumieniu z „Ministerstwem“ Kultury i Sztuki.

Wszystko to oznacza, że jesteśmy w przededniu dalszego kroku — po „reformie“ struktury gospodarczej i społecznej — w kierunku całkowitego skomunizowania Polski. Wyrażając się modnym dziś w kraju językiem — stworzenia nowego „modelu kulturalnego“ Polski.

Warto tu przypomieć wypowiedź prof. Chałasińskiego na temat wolności nauki: „Nauka i myślenie naukowe rozwija się z konieczności poprzez sprzeczne teorie naukowe... Wartość nauki dla demokracji polega nie na dogmatycznym propagowaniu jakiejś jednej teorii naukowej, lecz na krytycznej metodzie myślenia naukowego, która usuwa bezkompromisowość dogmatycznych stanowisk religijnych i politycznych“.

Otóż marksizm — a w szczególności następny jego etap: stalinizm — jest doktryną, która usiłuje ogarnąć wszystkie dziedziny życia — zarówno społeczeństwa jak i jednostki — i uformować je w sposób jednolity według narzuconego wzorca. W toczącej się dyskusji na temat przeobrażenia oblicza kulturalnego Polski — Jędrychowski, Żółkiewski, Władysław Bieńkowski stoją na stanowisku teorii, którą uznają za jedyną dopuszczalną i tłumaczącą wszystkie zagadnienia. Twierdzenia tej jednej teorii przyjmują jako fakty stwierdzone i pewne. Z tego stanowiska wypływają wszystkie ich wnioski i wskazania na przyszłość. Marksizm jest dla nich prawdą absolutną. Na tej absolutnej prawdzie opierają swój program, który władze administracyjne kraju mają wcielić w życie. Tej prawdzie ma służyć nauczanie w szkole, jej mają być podporządkowane sądy.

Że w stanowisku tym jest ogromne uproszczenie, nie trzeba nawet wyjaśniać. Że tkwią w nim niebezpieczeństwa dla samej istoty kultury — jest to prawda, którą potwierdzają tragiczne doświadczenia wszystkich narodów Europy środkowej, a nawet samego Związku Sowieckiego.

U podłoża wszelkiej twórczości kulturalnej leży samodzielność myśli. Kultura współczesna opiera się na dorobku setek pokoleń i tysięcy lat. Dorobek naukowy, dzieła sztuki, wszystkie zdobycze myśli ludzkiej opierają się na ciągłości pracy kulturalnej całych wieków. Są to wartości niezależne od ustroju, kierunku politycznego i systemu rządów. Powstawały i rozkwitały niejednokrotnie wbrew panującym systemom politycznym, nigdy jednak nie tracąc związku z zasadniczym wątkiem rozwojowym kultury. Świata myśli ludzkiej nie przeobrazi żadna doktryna, w szczególności jeśli chce zniszczyć same jego podstawy. Właśnie wśród sprzeczności poglądów i teorii myśl ludzka postępuje naprzód, a wolność myśli jest pierwszym warunkiem dążenia ku nowym zdobyczom. Oddanie kultury narodu w służbę jednej doktrynie musi spowodować jej zubożenie, zastój — tak samo jak poddanie społeczeństwa totalitarnej władzy państwowej prowadzi nieuchronnie do niewolnictwa.

ZGON JÓZEFA CZAJKOWSKIEGO

Dnia 27 ub. mies. zmarł w Warszawie Józef Czajkowski, emerytowany profesor architektury wnętrz warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Urodzony w r. 1875 w Warszawie, po wstępnych studiach w dziedzinie plastyki, w 24. roku życia wyjeżdża na kilkuletni pobyt do Monachium i Paryża. Po powrocie do kraju organizuje zrzeszenie artystów „Polska Sztuka Stosowana“ z siedzibą w Krakowie. Dążeniem grupy było jak najszersze upowszechnienie sztuki stosowanej. Podstawą jej pracy artystycznej była rodzima sztuka ludowa.

W r. 1913 powołany został Czajkowski do Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i organizuje wydział Architektury Wnętrz. W latach 1919 — 20 prowadzi wykłady na Uniwersytecie Wileńskim. Po kilkuletnim okresie, poświęconym własnej twórczości artystycznej, w r. 1923 powraca do szkolnictwa i organizuje Szkołę Sztuk Pięknych w Warszawie, przemianowaną potem na Akademię. W r. 1925 powierzono mu urządzenie Pawilonu Polskiego na Międzynarodowej Wystawie Sztuk Dekoracyjnych w Paryżu. Pawilon, jak i wnętrze, oparte na wzorach ludowych, otrzymuje najwyższe odznaczenie. Do współpracy w tym dziele powołał Czajkowski swych uczniów, ale w najwyższym może stopniu ówczesne powodzenie polskiej sztuki dekoracyjnej było jego osobistym sukcesem. Jako długoletni członek Rady Towarzystwa Szerzenia Sztuki Polskiej Wśród Obcych — przysłużył się Czajkowski dziełu rozpowszechnienia wiedzy o sztuce polskiej wśród wielu narodów. W swej twórczości artystycznej, jak i w pracy pedagogicznej, był bezkompromisowy, wierny naczelnemu zadaniu swego życia: bezinteresownej służbie dla piękna.

ARCHIWUM AKT DAWNYCH

W odbudowanym częściowo Pałacu pod Blachą mieści się obecnie Archiwum Główne Akt Dawnych. W dawnej Bibliotece króla Stasia znalazł pomieszczenie magazyn archiwalny.

Magazyn jest przepełniony pakami i skrzyniami dokumentów archiwalnych odzyskanych z Niemiec. W jednym rogu sali leży sterta akt Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych XIX wieku. Pod ścianą umieszczony jest zbiór 20 tys. map i planów. Na przeciw leży 500 pudeł korespondencji radziwiłłowskiej. Obok 5 tys. pergaminów Kancelarii Królewskiej, księgi Grodu Warszawskiego, protokóły Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego. Na jednej z półek stoi Wielka Encyklopedia francuska z XVIII wieku. Po 150 latach wędrówek wróciła ona na to samo miejsce, gdzie stała za czasów króla Stanisława Augusta.

Ocalał także srebrny tłok pieczęci kancelerskiej, ważący ok. pół kilograma, z czasów Jana III, z wytłoczonymi herbami wszystkich ziem Rzeczypospolitej.

Jedna z ksiąg z XVI wieku zawiera instrukcje dla posłów polskich wyjeżdżających zagranicę i protokóły ich audiencji u obcych monarchów. Inna z ksiąg zawiera korespondencję z przedstawicielami mocarstw rozbiorowych w Warszawie oraz zbiór korespondencji z polskimi placówkami zagranicznymi. Zachowały się też tzw. Księgi Rachunkowe skarbu królewskiego.

W magazynie przechowywane są także różne traktaty, zawierane przez Polskę z innymi państwami, oryginał przywileju koszyckiego, Statutu Łaskiego, oraz dokument z r. 1454, w którym Stany Pruskie wypowiadają posłuszeństwo Krzyżakom i oświadczają, że uznają tylko władzę króla polskiego. Istnieje też cały komplet listów w związku z wyprawą wiedeńską Króla Jana.

Zbiory te w większości nie są nawet rozpakowane ze skrzyń. Zmagazynowano je po prostu w nie odnowionej dotąd sali bibliotecznej. Na środku sali, wkoło dużej kałuży wody, stoją większe i mniejsze blaszanki, mające chronić zbiory przed zalewem wody, która podczas deszczu leje się przez dziurawy dach.

Napaść na Kasprowicza

W „Kuźnicy“ z dn. 15 lipca 1947 pisze p. Mieczysław Jastrun o „Kasprowiczu — po latach“:

„Otóż wydaje mi się, że ambicje Kasprowicza były ogromne, jeśli chodzi o rozpiętość tematyki, natomiast filtry jego artystyczne były słabe i zbyt wiele przepuszczające. Kiedy czyta się wiele wierszy Kasprowicza naraz, zwłaszcza „Księgę Ubogich“ i wiersze drobne, uderza zdumiewająca niedbałość w traktowaniu materiału słownego. Kasprowicz nie pokonuje oporu słów, nie płynie przeciw ich prądowi, lecz daje się unosić na powierzchni nurtom pozornie wzburzonej rzeki.

„Jego wiersze regularne, te nawet, które mają obfite rymy i wyraziste miary, są właściwie pisane, wbrew pozorom, mową niewiązaną. Nie ma w nich bowiem frazy poetyckiej, nie ma śladu instrumentalizacji. Płyną na falach potocznej gwary, wtedy właśnie, gdy poeta zabiega o wywołanie wrażenia kunsztu“.

Mieczysław Jastrun „nie rozumie jak mógł Ostap Ortwin nie dostrzec w „Księdze Ubogich“ łataniny formalnej i niezamierzonego ubóstwa“.

Powiada, że:

„Kasprowicz nie eliminuje, nie umie się wyrzec niczego i dlatego często traci wszystko.

„Szum wody“ nie jest bynajmniej wyjątkiem. Przykład to pierwszy z brzegu, wcale nie jaskrawy; na każdej stronicy dzieł Kasprowicza można znaleźć potwierdzenie tezy o niedonoszeniu i lenistwie formy tego poety. Proszę mi tylko nie mówić o „gazdostwie“ metody Kasprowiczowskiej, o świętej prostocie itd. To bardzo wygodna formuła entuzjastów nieładu i ubóstwa myśli. Owszem, potrafię się zachwycić autentyczną prawdziwą prostotą pieśni staropolskiej:

Dusza z ciała wyleciała
Na zielonej łące stała...

Ale to przecież jest lepiej zorganizowane niż udające prostotę franciszkańską rozgadane i rozbełtane wiersze „Księgi ubogich“ lub „Mojego świata“.

„Tam, gdzie zaczyna się gadulstwo, kończy się poezja. I niech mi nikt nie tłumaczy, że to gadulstwo jest zamierzone, że w nim wyraża się pokora wobec świata. Cóż za przewrotna dialektyka“!

Pan Jastrun pisze dalej:

„Indywidualny bardzo jest właśnie ton „Księgi Ubogich“, sugestia jej kiedyś była tak duża, iż zakryła przed oczami krytyków i czytelników wszystkie biedy i łatwizny tej książki — nie zamierzone przez autora. Dzisiaj sugestia ta upadła, surowy czas, który tę księgę oddalił od nas, pozwala spojrzeć na nią bez uprzedzeń. Jej skazy są dzisiaj bardziej widoczne, niż jej zalety“.

Autor posuwa się nawet do twierdzenia, że

„jeżeli dzisiaj wiersze i listy, które nadchodzą z głębokiej prowincji polskiej do redakcji pism literackich od różnych poczciwców i zamyśleńców, mają ton zadumy i medytacji Kasprowicza, to dowód, ile w tej „ogólnoludzkiej“ poezji było **prowincji**“ (podkreślenie p. Jastruna).

Wreszcie p. Jastrun stwierdza:

„W początkach swej twórczości nie bez wpływów pozytywizmu i Konopnickiej, poezja jego miała charakter społeczny, bojowy. Rychło wszakże następuje przeobrażenie Kasprowicza. Bunt społeczny roztopił się w metafizyce, protest przeciwko przemocy ziemianina i fabrykanta przemienił się w protest przeciw krzywdzie „wiecznego człowieka“. Prometejski bunt ustępuje później franciszkańskiej pokorze i prostocie“.

Otóż obawiamy się bardzo, znając „Kuźnicę“, że w tych właśnie ostatnich zdaniach kryje się istotny powód tak gwałtownego natarcia na Kasprowicza. W istocie jest w „Księdze Ubogich“ „franciszkańska prostota i pokora“, ale język jej nie jest sztucznie prosty ani niedbały w ujemnym tego słowa rozumieniu. Prostota języka Kasprowicza wynika z treści, a nawet z panowania treści nad słowem. Jest prawdą, że słowo u Kasprowicza zajmuje drugie miejsce, a treść pierwsze. To właśnie odróżnia Kasprowicza tak bardzo od wielu współczesnych poetów. W każdym jego utworze wybija się na pierwsze miejsce szukanie stosunku do życia i świata. Poezja jego, to powieść człowieka, który otwierając młode jeszcze oczy, usiłuje sobie zdać sprawę z tego, gdzie jest i z drogi, którą idzie. W pierwszym okresie, rzecz prosta, jest poezja jego odbiciem rzeczy najbliższych, tych, które każdy człowiek najpierw zauważa, jest rozprawieniem się z otoczeniem. Ale poeta szybko wybiega poza pierwsze zetknięcie się z życiem i staje przed odwiecznym dramatem. Dramatem, przed którym staje każdy człowiek, o ile jest naprawdę człowiekiem. Wtedy to „wadzi się z Bogiem“ i to „wadzenie się z Bogiem“ jest treścią jego poezji. W tej walce dusza jego dojrzewa i wznosi się powoli do najwyższych szczytów, na których jest cisza i przejrzysta, kryształowa czystość wieczności. Z tych szczytów spogląda na sklębione chmury i burze, które rozgrywają się już pod nim.

W całej swojej twórczości Kasprowicz wypełniony jest i nabrzmiały treścią istnienia. Szuka on drogi, aby je zrozumieć, a na tej drodze, wypatruje przejścia i złomy, na które stawiając nogę mógłby wyjść na szczyt i ogarnąć wzrokiem jak najdalsze przestrzenie. Nie ma on czasu na układanie mozaiki na ścieżce i gładzenie kamieni, po których stąpa. Droga jego jest szorstka, ręce, którymi przerzuca kładki przez przepaści, chropowate jak u chłopa, który prowadząc pług, myśli o tym, ażeby jak najgłębiej orać, skoro ziarno, które posieje, ma się rozwinąć w kłosy najpełniejsze. Słowo dla Kasprowicza ma wartość pługa, którym rozrzuca i rozdziela ziemię. Jest ono jego kijem podróżnym. Gdy przerzuca most przez przepaście, ścina pnie smreków, które rosną przy drodze, nie szuka ani hebanu, ani mahoniu. Nie bawi się w gładzenie, ale przycina je i umacnia o tyle tylko, o ile trzeba, aby mocno leżały. Nie nakłada też na sosnę, świerk i dąb cienkich płyt drzew wyszukanych. Przy obróbce nie używa świderków i nożyków. Wystarczy mu zwykłe góralska ciupaga i hebel cieśli. I tak dochodzi do szczytu, z którego już można tylko odejść w zaświaty, ale nie można iść dalej. Wtedy spogląda na odbytą drogę i przychodzi nań wielkie ukojenie, w którym jest głęboki i przedziwny smutek pożegnania. Kasprowicz w tym końcowym okresie jest pełen głębokiego zadumania, pełen miłości do ziemi i życia. „Księga Ubogich“ to najpiękniejsze pożegnanie ziemi, jakie kiedykolwiek napisano.

Prawda, nie jest poezja Kasprowicza, a zwłaszcza poezja „Księgi Ubogich“, poezją, której wymaga i którą nakazuje materializm komunistyczny. W ogóle jest twórczość Kasprowicza w najgłębszej swej istocie jak najbardziej sprzeczna z nastawieniem marksistowskim. Nie jest przede wszystkim marksistowskim żaden przystanek, chociażby przystanek ten był na szczycie. Marksista nie ma czasu na zadumane spojrzenie, nie ma czasu na zastanawianie się. Nie wolno mu w ogóle stanąć. Marksista może tylko działać. Musi się poruszać, bez przerwy. Spoglądać może tylko o tyle, o ile to jest potrzebne dla bezpośredniego ruchu. Jego spojrzenie jest spojrzeniem — jeżeli się można tak wyrazić — „pragmatycznym“, służącym bezpośredniej przydatności. Nie jest przede wszystkim marksistowską próba zrozumienia tego, co jest niezmienne i wieczne, bo marksizm nie uznaje niezmienności, a tylko działanie i ciągłą zmianę. Nie jest też marksistowskie umiłowanie przyrody i uznanie, że to, co jest, i takie, jakie jest, jest piękne. W pojęciu marksizmu człowiek tworzy świat i nie ma granicy temu przetwarzaniu. Czynność i działanie stanowi dopiero w pojęciu marksisty człowieka. Człowiek jest panem świata, rządzi nim i zmienia go według swoich zamiarów.

A tu nagle przychodzi Kasprowicz, który dochodząc do szczytów, przystaje i spogląda **nieruchomy**, uznając piękno tego co jest i co stworzył Bóg, a nie człowiek.

Z tym oczywiście marksizm — tak jak rozumieją go komuniści — pogodzić się nie może. I dlatego „Księga Ubogich“ pozostanie dla komunistów utworem, którego nie będą mogli nigdy w pełni zrozumieć, a nawet utworem szkodliwym, który będą zwalczać.

Zdaje nam się, że to jest główny powód natarcia na Kasprowicza. Nie będziemy się zresztą spierać, czy w wierszach Kasprowicza nie ma tu i tam ustępów słabszych, a gdzie indziej piękniejszych. Może im naprawdę brak „instrumentalizacji“ i tak nazwanej frazy poetyckiej, (ach te frazy! Co to w ogóle jest „fraza poetycka“? Albo jest coś poezją, albo też nią nie jest i nie pomoże tu żadna „fraza“). Ale przyznajmy się szczerze, że wolimy treść Kasprowicza, choćby ubogą w „instrumentalizację“, niż bogatą „instrumentalizację“, która jakże często pokrywa brak treści. To właśnie zarzucamy wielu poetom, którzy idą tzw. „współczesnymi“ drogami, że oryginalność upatrują w kształcie jak najbardziej wyszukanym a nie mają w istocie nic do powiedzenia. Narzędzie staje się wtedy celem samo w sobie. Czy przypadkiem jednak prosta szklanka pełna dobrego wina nie jest lepsza od kielicha tak „wyinstrumentalizowanego“, że nie ma w nim już miejsca na wino, albo, że nie można do niego ust przyłożyć bez wykrzywienia ich w grymas?

Bezstronnie zaznaczamy, że p. Jastrun przytacza również urywki z dzieł Kasprowicza, które słusznie uważa za bardzo piękne. Ale, jak wykazują przytoczone zdania z jego artykułu, ogólny sąd o poecie opiera na tym, co widzi w nim ujemnego. Zdaje nam się, że w podejściu jego do Kasprowicza jest coś więcej, niż zawsze możliwy i dopuszczalny spór o to, czy jakiś wyjątek z dzieła takiego czy innego poety jest bardzo piękny, piękny, czy też „puszczony“. Bo przecież nie jest to żadną tajemnicą, że nawet wielcy poeci pisali nieraz rzeczy słabe. Chodzi jednak o całość ich oblicza poetyckiego. Przecież nie sądzimy Mickiewicza na podstawie takiego zdania z jego ballady: „przyleciał Józio w straszliwej postawie“.

Nie mylimy się chyba, wyczuwając w artykule p. Jastruna daleko idący sprzeciw — może świadomy, a może nawet chwilami nieświadomy — przeciwko zasadniczej postawie Kasprowicza, najbardziej właśnie dojrzałej w „Księdze Ubogich“. W książce tej potea, zakreśliwszy wielki łuk swojego życie, z okiem zwróconym na wieczność przystanął jak słońce przed zachodem — i odnalazł siebie w milczeniu. Słów już wtedy nie potrzeba. Przyjdzie mu je niebawem odłożyć na zawsze. Dlatego jest w „Księdze Ubogich“ rzeczywiście jak gdyby pewna niedbałość słowa. „Księga Ubogich“ nie byłaby jednak tym, czym jest, gdyby w niej wybijała się miłość — „instrumentalizacji“ i „frazy poetyckiej“.

Nie zajdzie się nigdy na te szczyty, z których spojrzał na świat Kasprowicz, opierając się na swoim sękatym kiju podróżnym wsiadłszy do samochodu, albo 4-silnikowego samolotu i innych cudów techniki współczesnej. Komuniści domagają się poezji opiewającej wysiłek techniki jako objawienia najgłębszego człowieczeństwa. Czytamy i czytaliśmy takie wiersze, których autorzy usiłowali spełnić to żądanie. Nie było w nich jednak nigdy i nie mogło być spojrzenia człowieka, który przystanął w ciszy, ażeby okiem ogarnąć głębię i nieskończoność świata. Nie można dojrzeć żadnej głębi a tym mniej Boga, biegnąc!! A marksiści widzą właśnie istotę życia w ruchu. Nic dziwnego, że Bóg dla nich nie istnieje. Tymczasem poezja Kasprowicza, i to zwłaszcza w „Księdze Ubogich“, jest **stanowiskiem.** I dlatego Kasprowicz jest poetą. I dlatego również nie mieści się w ramach dzisiejszej — o ile ograniczona jest przez komunizm — rzeczywistości polskiej. Cóż by Kasprowicz powiedział na takie zdanie p. Stefana Żółkiewskiego: „Kultura ma zawsze treść klasową. Jest między innymi narzędziem klasowego panowania“. („Kuźnica“ z dn. 29 lipca 1947, artykuł pod nagłówkiem „Dwie mobilizacje“).

Nie! Kultura, prawdziwa kultura, której przejawem jest również poezja, nie ma treści klasowej tak, jak to rozumie p. Żółkiewski i nie jest wyrazem niczyjego panowania, co najwyżej chyba (o zgrozo) ducha nad materią. Jest zawsze ponadklasowa, czy międzyklasowa, o ile właśnie jest prawdziwa, chociaż może mieć styl i ubiór okresu, w którym powstała. Treścią jej jest nie klasowy, nie mijający, ale wieczny człowiek, nawet wtedy, gdy mówi o chłopie, robotniku, mieszczaninie czy księciu, a nawet, gdy węzłem dramatu jest rewolucja i walka klas, jak w „Nieboskiej Komedii“. Nie jest „klasowy“ ani narzędziem „klasowego panowania“ również „Pan Tadeusz“, aczkolwiek maluje życie pewnej warstwy w określonym czasie. Najgłębsza treść tej cudownej książki, przyroda i wieś i współżycie z nią człowieka, a więc to, co nadaje jej wartość trwałą, nie jest klasowa. Kultura tam, gdzie jest naprawdę kulturą, może mieć zewnętrzny taki czy inny ubiór, ale w istocie jest jedna, a przedmiotem jej i podmiotem jest nie klasa ale człowiek. Co u diabła klasowego mają zresztą np. sonety Petrarki; albo wiersze Li-Tai-Po? Albo „Faust“ Goethego? Albo też „Król Duch“ Słowackiego? Poza tym przecież nawet według ideologii komunistycznej „klasy“ mają kiedyś zniknąć. Czy skoro zdaniem p. Żółkiewskiego może istnieć tylko klasowa kultura, kultura zniknie razem z klasami? Całe szczęście, że zostanie ten wieczny człowiek, o którym z przekąsem mówi p. Jastrun. Bo on to właśnie jest twórcą kultury. I on też dochodzi do głosu w prawdziwej poezji. Dla walki klas (wszystko jedno jakich) zostają plakaty i broszury propagandowe. A jako „narzędzie panowania“? Mamy wrażenie, że sami komuniści mają większe zaufanie do innych narzędzi niż kultura, skoro do pomocy swojej „kulturze“ tak często biorą policję.

A. T.

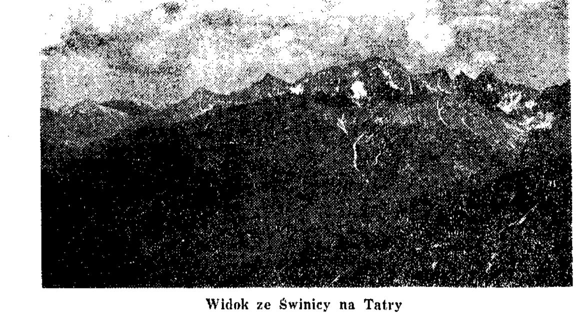

Widok ze Świnicy na Tatry

ROMANS ŻYWOTÓW

Literatura jest naśladowaniem natury. Rzeczywistość jest najdoskonalszą literaturą. Życie ludzkie najciekawszym romansem. Życie tym się jednak różni od literatury, że jest wątkiem wielu równoczesnych romansów, które instrument literatury zdolny jest wprawdzie rozszczepić, lecz — jak dotąd — nie jest ich zdolny równocześnie wyrazić. Podobnie jak postimpresjoniści zdają sobie sprawę ze złożoności barw, lecz nigdy instrumentami malarskimi nie uchwycą ich istoty, tak też pisarze mając świadomość wielopostaciowości żywotów nie mogą instrumentami literackimi wyrazić jej w sposób zbliżony do rzeczywistości. Z tego wynika, że dążenie do naśladowania rzeczywistości pozostanie zawsze ideą literatury.

Okres fikcji w prozie wydaje się zmierzchać. Rzeczywistość natomiast staje się panią literackiej epoki. Nie jest to sprawa realizmu, to bowiem zagadnienie odnosi się do formy, do struktury dzieła. Pryzmat rzeczywistości nad fikcją jest zaś kwestią idei, koncepcji, istotności literatury.

Najlepszą literaturą są pamiętniki, pisane przez wielkich pisarzy. Jest w nich najwięcej światła, najwięcej barw, miąższu literackiego, fabularnego, bogactwa, ale i one dalekie są od wielopostaciowości żywotów. W gruncie rzeczy olbrzymia większość dzieł literackich, to życiorysy. Im bardziej autor świadom jest swej roli — żywotopisarza, tym dzieło jego jest bardziej literackie. Literatura jest bowiem szukaniem właściwych nazwań i określeń na funkcje życia.

Uciekanie się do fantastyki, do fikcji jest ucieczką od rozprawy z życiem, ucieczką od naczelnego zadania piśmiennictwa — sztuki nazywania rzeczywistości. Podobną ucieczką jest również fingowanie życia, jego fantazjowanie, upoetycznianie, przenoszenie w wymiary pozaludzkie.

Gdy się czyta romans o arystokracji polskiej XIX wieku Aleksandra Piskora, zatytułowany: „Siedem ekscelencji i jedna dama“*), odnosi się wrażenie, że zamiarem autora była dosłowna wierność życiu, naszkicowanie portretów z rzeczywistości, nie udrapowanych w fantazyjne akcesoria. Autor posunął jednak ostrożność swej narracji tak daleko, że kurczowo trzyma się prostej, wyraźnie wytyczonej linii jednolitego, jednopłaszczyznowego romansu. Katarzyna Starzeńska jest heroiną konsekwentnej erotyki, Wacław Rzewuski — baśniowego romantyzmu, Wacław Zaleski — werteryzmu, Juliusz Dzieduszycki — miłości koni, Leopold Starzeński — myśliwstwa, Wojciech Dzieduszycki — polityki. Są to esencje idei, arcyjednolite romanse, ludzie-symbole. Dlatego są — wbrew założeniu autora — nierzeczywisto. Kobieta, tak smakująca miłość, jak Starzeńska, może się mieścić tylko w ramach baśni, maniacy w rodzaju Wacława Rzewuskiego, Juliusza Dzieduszyckiego czy Leopolda Starzeńskiego żyją tylko w sagach i mitach. Tylko bowiem w mitach Apollo od rana do wieczora strzela z łuku myśliwskiego, a Eros z łuku miłości. Smaki miłości gotuje na swej kuchence od świtu do świtu tylko Wenus.

Ludzie żywi żyją wedle nieodmiennych praw życia. Każdy człowiek jest po trosze bohaterem i romansu miłości i romansu pracy i myśli i wiary i daremnego szukania szczęścia i stosunku do zbiorowości, czyli polityki. Nie ma ludzi z jednej bryły, nie ma żywotów jednego romansu.

Autor „Siedmiu akscelencji“ uznał, że rzeczywiste żywoty są bardziej literackie, niż figurki ulepione z wosku wyobraźni, którym łatwo jest nadać dowolny kształt i wymiar. Rolę jednak ułatwiła mu mgła przeszłości, mająca właściwość zacierania konturów i ostrości rysów, zmniejszania i wyolbrzymiania. Aczkolwiek autor z ironią potraktował ludzką słabość do idealizowania przeszłości i na początku książki umieścił motto-satyrę: „wtedy tylko żyło się dobrze, gdy nas nie było...“ — sam bardzo skwapliwie skorzystał z mgły otulającej przeszłość. Stąd obraz przeszłości u Piskora, to zaledwie kilka kresek ołówkiem pod olejne malowidło. W szczególności polityczną świadomość polską w XIX stuleciu potraktował Piskor — buffo.

Drugoplanowe postacie jego romansów mają poobcinane ręce i nogi, na twarzy jeden, potrzebny koncepcji autora, grymas. Taki jest np. biskup Woronicz. Stary Józef Benedykt Pawlikowski ustylizowany został na koguta. Powtarzalność ludzkich namiętności w rysach bohaterów, a zwłaszcza aż do znudzenia powracający nieujarzmiony erotyzm, wywołują pesymizm. Dlatego najradośniejszą i najpełniejszą jest sylwetka Wojciecha Dzieduszyckiego — człowieka myślącego i pracującego, a harcującego bez umiarkowania za zwierzyną i spódniczkami. To już zresztą bardziej wina bohaterów, niż autora. Takich wybrał.

„Siedem ekscelencji i jedna dama“ nie jako książka z zakresu obyczajowości jest książką dla ludzi poważnych. Chociaż jest obrazem przesadzonym, jest jednak i portretem. Uczy i bawi. Autor jest mocnym stylistą. Znakomicie operuje komizmem, dowcipem, kontrastem, paradoksem; ironia jego jest pokrewna Karolowi Zbyszewskiemu. Koloryt lwowski „Ekscelencji“ zbliża książkę Piskora do serca. Miłe opracowanie graficzne.

„Siedem ekscelencji“ jest jak siedem barw, tworzących światło — życie. Dama jest ósmą barwą — ultrafiołkową czy podczerwoną.

Jan Bielatowicz

*) Aleksander Piskor: „Siedem ekscelencji i jedna dama“. Instytut Literacki, Rzym, 1947.

PODRÓŻ DO PIEKŁA

Niebywały wzrost powodzenia współczesnej literatury amerykańskiej, a zwłaszcza twórczości czołowych powieściopisarzy (Faulkner, Caldwell, Steinbeck stanowi w kulturze europejskiej prawdziwy przełom. Ze Stanów powraca wzmożona fala wpływów Bergsona, Prousta, Joyce'a i Gide'a a przede wszystkim Freuda. Literatura Starego Świata usycha u źródeł intelektualizmu. Tęskni za pełniejszym wytłumaczeniem człowieka, marzy o nieznanych rzeczywistościach i nadaremnie poszukuje przyczyn powszechnego zła. Mimo, że przez pisarzy europejskich wyzyskana została każda treść zewnętrzna i wewnętrzna — a tak się na pozór wydawać może, znajomość najgłębszych warstw duszy ludzkiej wykazują dopiero Amerakanie.

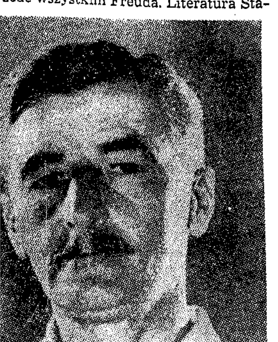

William Faulkner

Pisarze amerykańscy dokonują odkryć psychologicznych lądów, wysp i mielizn, przesłoniętych dla nas mgłą nawyków obyczajowych. Potomkowie purytanów biorą w literaturze odwet za trzymane długo w dyscyplinie namiętności i pasję widzenia najważniejszych spraw życia. Literatura amerykańska wypuściła na wolność sforę instynktów i one to zmuszają pisarzy do bezwzględnego i gwałtownego wyrażania życia, niosąc smak barbarzyństwa. To, co powiedział Cocteau o muzyce Igora Strawińskiego „uderza nas zarówno w głowę jak i w serce“ — da się zastosować do literatury amerykańskiej. Jest ona jednocześnie buntem przeciw purytańskim tradycjom i oskarżeniem współczesnych warunków życia. Mowa oczywiście o pisarzach, którzy swe powołanie literackie pojmują najpoważniej, którzy nie ulegają wymaganiom czytelnika a — przeciwnie — piszą wbrew tym wymaganiom. Z tego właśnie powodu powieści, przekraczające przeciętność czytelnika amerykańskiego, zdobywają nie Stany Zjednoczone, lecz rynki europejskie, jakby chciały na Starym i doświadczonym lądzie szukać lekarstwa na ułomności własnego kraju.

„Jeśli choć jeden człowiek znajduje się w więzieniu — nie będę czuł się wolnym“ (Dos Passo). W tym wyznawaniu wiary zawiera się barwa społeczna i moralna dobrej powieści amerykańskiej. Odkąd potrafiła się ona uwolnić od mdłych wpływów angielskich i francuskiego intelektualizmu, nie przestaje dążyć pośrednio i bezpośrednio do przebudowy społeczeństwa i jego podwójnej moralności.

W roku 1915 wychodzi „Spoon River Anthology“, dzieło młodego poety E. Lee Masters'a oskarżające cywilizację amerykańską. Fala pesymizmu zalewa twórczość literacką i powoduje przypływ skrajnego naturalizmu.

Począwszy od powierzchownie oceniającego życie Sinclair Lewisa, poprzez Sherwooda Andersona, wprowadzającego do powieści zdobycze freudyzmu, aż po Williama Faulknera — wszyscy wyrażają tragiczny stan współczesnego człowieka, zduszonego warunkami bytu i własnego środowiska.

Teodor Dreiser stwarza pierwszy wyłom, Lewis i Anderson — by wymienić tylko najważniejszych — torują drogę następnym. Począwszy od roku 1920 to, co pozostało z „genteel tradition“ (odpowiednik malarskiego określenia Witkacego „portret wylizany“) czy płytkiej powieści proletariackiej, ustępuje miejsca książkom „tough“ (mocnym).

Pierwszy chyba Hemingway pisze o współczesnym „mal de siecle“, wprowadzając do współczesnej literatury amerykańskiej bohaterów, wykolejonych przez wojnę i zbuntowanych przeciw obowiązującym prawom. Próbują oni topić własną bezsilność w alkoholu i gwałtowności. Przypominają swego europejskiego kolegę, Lafcadia, zrodzonego przez Gide'a w „Lochach Watykanu“, choć ten jest wyrafinowanym europejczykiem. Człowiek Hemingway'a składa się z mocnego gardła, twardych pięści i sprawnych narządów płciowych. Oczywiście taki typ człowieka jest uproszczonym przedstawicielem zewnętrznego życia powojennej Ameryki. Dopiero Caldwell i Steinbeck dobierają się do jego wnętrza. Ich człowiek jest świadkiem a nie oskarżonym, a jeśli jego twórcy zagłębiają się w okropności życia, to tylko po to, by wołać o sprawiedliwość i łaskę dla bezbronnych ofiar. Jest coś rewolucyjnego w ich „sadyźmie“, który chce burzyć zakłamanie i uzupełnić to, co w wiedzy o człowieku jest niedostateczne. Wymienieni pisarze nie potrafili jednak znaleźć przyczyn zła tak ostro przez nich dostrzeganego. U dna świadomości amerykańskiej snują się widma purytańskich przodków, którzy zeszli na ląd z pokładu historycznego „Mayflower“. Purytanizm jeszcze do dziś wywiera wpływ na życie psychiczne mieszkańców Stanów Zjednoczonych i stanowi dla nich poważny hamulec. I oto William Faulkner odważył się pierwszy naruszyć „tabu“ swoich ziomków i ukazać piętno zakłamania „Pilgrims Father's, ciążące na nim samym i na jego współbraciach.

William Faulkner jest pierwszym powieściopisarzem, który sięgnął do najgłębszych pokładów podświadomości, mimo — co nie jest bez znaczenia — że jest chyba ostatnim pisarzem arystokratycznego Południa. Południowe Stany będą dla niego pożywką twórczą, ośrodkiem pisarskiego świata, w którym ściera się miłość i nienawiść do tej ziemi. W czasie pierwszej wojny światowej, Faulkner, osiemnastoletni podówczas młodzieniec, zaciąga się do Canadian Flying Corps a potem przechodzi do RAF'u walczącego we Francji. Ranny w wypadku samolotowym, powraca do New Yorku. Pracuje w księgarni, pisze sprawozdania do dzienników, styka się z Sherwoodem Andersonem, który zapoznaje go z teoriami Freuda, potem powraca do Stanu Mississipi. Tam jest z kolei murarzem, malarzem pokojowym, listonoszem, wozi węgiel do wielkiej elektrowni.

Pierwsze jego kroki w literaturze, a mianowicie „The marble Faun“ (Marmurowy Faun, 1924), długi poemat, a także dwie powieści „Soldier's Pay“ (Odpłata żołnierza, 1926) i „Moscitoes“ (1927) przeszły bezgłośnie. Dopiero „Sound and the Fury“ (Dźwięk i wściekłość, 1929) staje się rewelacją.

Faulkner drastycznie opisuje w niej walkę człowieka z czasem i absurdalnością życia. Autor otwiera bramy piekła i prowadzi czytelnika w głąb potworności dnia dzisiejszego. „The Sound and the Fury“ to opowiadanie o czterech typach degeneracji, o dziejach wynaturzonych instynktów, widzianych oczami idioty. Tytuł powieści, zaczerpnięty z szekspirowskiego Makbeta, odpowiada nie tylko treści lecz i technice pisarskiej: „życie jest historią opowiedzianą przez idiotę, pełną dźwięków i wściekłości i nic nie znaczącą“ (Makbet akt V, scena V).

W tym samy roku wydaje „Sartoris“. Są to dzieje rodu osiadłego w fikcyjnym mieście Jefferson, na którego tle rozgrywać się będzie większość dramatycznych wątków powieści Faulknera. Osoby, występujące w „Sartoris“, odnajdzie się również w innych jego książkach. Faulkner, tak jak Proust, stworzył jakieś syntetyczne typy, które są sumą jego bolesnych doświadczeń i pesymistycznego poglądu świata.

Po ukazaniu się drugiej książki, Faulkner nabrał przekonania, że z pióra nie wyżyje. W tym samym czasie wydawca zwrócił mu rękopis (pierwszą wersję „Sanctuary“) twierdząc, że boi się procesu o obrazę moralności publicznej. Pisarz zarabia więc wożeniem węgla do pieców elektrowni. W nocy, oparty o ścianę, za którą huczą potężne dynama, pisze. Powieść „As I lay dying“ (Podczas gdy zamieram) powstała w ciągu sześciu tygodni. Warto przypomnieć w tym miejscu urywek z korespondencji Flauberta, z okresu pisania „Madame Bovary“: „odkąd widzieliśmy się, zrobiłem 25 stron na czysto, 25 stron w ciągu sześciu tygodni“. Sześć tygodni i 25 stron „Madame Bovary“ — sześć tygodni i przeszło 350 stron Faulknera!

„As I lay dying“ to opowieść o przygodach dziwacznej rodziny, odwożącej ciało zmarłej farmerki do miasteczka. Pogrzeb jest tylko okazją do wydobycia się z zapadłej wsi, ziszczeniem tęsknot i marzeń całej grupy. Mąż zmarłej kupuje sobie zapasową sztuczną szczękę i przedstawia sierotom ich przyszłą macochę; córka nabywa środek na przerwanie ciąży, a mały Vardaman, oparty o szybę wystawy, przygląda się mechanicznym zabawkom, zajadając po raz pierwszy banany.

„Sanctuary“ (Sanktuarium) ukazuje się w roku 1931 i jest koszmarną historią młodej dziewczyny wciągniętej do domu publicznego. Malraux w przedmowie podkreśla cechy tej książki, wynoszące ją ponad melodramat wątku. Faulkner może czerpać treść nawet z bulwarowych sztuk Grand-Guignol'u, zawsze jednak stworzy arcydzieło. Mówi Malraux, że za błahą dla europejskiego czytelnika treścią czai się antyczne Przeznaczenie. „Czai się ono za tymi tak podobnymi do siebie a jednocześnie tak różnymi ludźmi, jak śmierć u drzwi szpitalnej sali dla nieuleczalnych. Do policyjnych melodramatów Faulknera wciska się najprawdziwsza tragedia grecka“. „Sanctuary“ doczekało się scenariusza i zostało sfilmowane, nie schodząc przez długie miesiące z ekranów.

„Light in August“ (Światło w sierpniu, 1923) opowiadania o przeżyciach mieszańca obarczonego dwoma kompleksami. „Pylon“ (1935) jest satyrą na tłum żądny sensacji i szukający w niej namiastki sensu życia. Powieść ta jest chyba najsłabszą pozycją w twórczości Faulknera, który w trzy lata potem wydaje „Unvinqueshed“ (Niezwyciężony), powieść na poły historyczną, w której czytelnik zapoznaje się z dziejami arystokratycznej rodziny Południa. Stacza ona przez cztery długie lata walkę stawiając heroiczny opór nieokrzesanemu barbarzyństwu idącemu z Północy. Książka jest palącym oskarżeniem Stanów Północnych i wytłumaczeniem potworności dnia dzisiejszego. W r. 1939 porzuca Faulkner czas heroiczny i pisze współczesną powieść „The Wild Palms“ (Dzikie Palmy), składającą się z dwóch opowiadań o odwrotnych tezach.

Wszystko, co opisane jest w jego powieściach, a więc gwałty, mordy, zboczenia i samobójstwa, posiada symboliczny charakter rozkładu społeczeństwa Stanów Południowych i jest niejako socjologiczną kroniką, ogarniającą niemal całe życie amerykańskie. Krytyka stawia często — niesłuszny zresztą — zarzut pisarzowi, że nie jest w stanie „stworzyć“ prawdziwych (w rozumieniu amerykańskim) bohaterów, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety. Prawdą jest, że woli on typy potworne, obarczone kompleksami, wynaturzone, od ludzi przeciętnie normalnych. Jego kobiety są do cna zepsute lub niedorozwinięte. Potrafił jednak stworzyć ich przeciwstawienie w powtarzającym się typie starej panny (np. Mis Jenny z „Sartoris“), która posiada wszelkie dodatnie cechy i nieszkodliwe dziwactwa starych południowych rodów, nietkniętych jeszcze zarazą Północy. Być może, że Faulkner celowo wybrał dodatni typ starej panny, aby w ten sposób wyrazić pochwałę dnia wczorajszego. Odnosi się wrażenie, że ludzie Faulknera, nie mogą być dobrymi, czynią źle mszcząc się na życiu za swoją ułomność moralną czy psychiczną.

Technika pisarska Faulknera jest równie dziwna, jak postacie, którymi zaludnił swoje książki. Rzadko opisuje pełne czyny — natomiast zastępuje je opisem gestów, które przesłaniają niejako świadomość. Gdzie indziej używa tak częstego u Joyce'a monologu wewnętrznego. Czas w powieściach Faulknera posiada własną logikę i w dziełach porozmieszczany jest w ułamkach, które dopiero czytelnik musi złożyć i odtworzyć w całości.

J.P. Sartre twierdzi, że jeśli Faulkner posiada jakąkolwiek metafizykę, to jest to metafizyka czasu. To powiedzenie powoduje częste porównania autora „Niezwyciężonego“ do Prousta. Jeśli jednak Proust szukał zbawienia w całkowitem odtworzeniu przeszłości, to Faulkner woli o niej całkowicie zapomnieć. W „The Sound and the Fury“ ktoś, ofiarowując jednemu z bohaterów zegarek, mówi tak: „Daję ci grób wszelkiej nadziei i wszelkiego pożądania“.

Filozofia Faulknera jest pesymistyczna i chyba świadomie fałszywa. Człowiek bowiem nie jest tylko sumą własnej przeszłości. Jest również własną przyszłością. „A jeśli wykąpiemy się w czasie niedoznanym, w przyszłości — czy w ten sposób bezwzględność dnia dzisiejszego nie będzie umniejszona? Zdarzenie nie może mnie zaskoczyć jak złodziej, bo przecież z natury jest czymś, co jest już przyszłością“ — mówi Sartre w artykule o znaczeniu czasu w twórczości Faulknera.

Często łączy się nazwiska Faulknera i E. Caldwella. Wydaje się to jednak sądem uproszczonym ponad miarę i powierzchownym. Podczas gdy Faulkner używa ścisłej analizy do wyświetlenia złożonych zjawisk psychicznych, Caldwell pozornie tylko zagłębia się w duszę swoich bohaterów. Dzieło Faulknera powstało w klimacie człowieka wyzwalającego się z purytanizmu, a jeszcze ogarniętego strachem przed ohydą i skutkami grzechu. U dna twórczości Faulknera kryje się zawstydzony lecz namiętny idealizm, walczący ze złem, starym sposobem wybicia klina klinem. Podczas gdy ukrytym marzeniem Faulknera jest, by człowiek mógł sobie przypiąć skrzydła i odlecieć od swego wewnętrznego piekła — Caldwell żąda, by się w nim całkowicie i bezwzględnie pogrążył. Faulkner schodzi w głąb człowieka w zupełnej ciemności a na dnie, w tragicznych splotach instynktów, chce odnaleźć zatopiony przez ciśnienie środowiska zarodek nadziei. Poszukiwania te wynoszą Faulknera ponad współczesną literaturę amerykańską, która od czasów Melville'a nie miała tak potężnego pisarza.

Jakże mało odkrywczy wydaje się być przy nim Dostojewski, Mauriac, Joyce czy nawet wyrafinowany Proust. Zarzucić mu można brak symetrii w opisywaniu zjawisk. Nie potrafił bowiem przeciwstawiać dobra i zła. Byłby to jednak sąd powierzchowny, tak jak płytkim będzie sąd o Hieroimie Boschu czy Breughelu twierdzący, że malowali tylko po to by ukazać zło, zaczajone w świecie. Poszukiwanie na głębinach psychologii przesycił Faulkner podświadomą wiarą i nadzieją. Podróż do piekła staje się w ten sposób jak gdyby zapowiedzią raju.

Konstanty KIETLICZ - RAYSKI

EUTERPE, ALLELUJA!

Motto: „Poezja jest nabożeństwem nieustraszonych".
K. I. Gałczyński

Poeta na brzuchu. — Sclavus saltans. — Gałczyński, nie bądźcie Minkiewiczem! — Kiedy nihilista staje się państwowo-twórczy. — Porfirion-osiełek u żłobu. — Od Oeneru do Pepeeru. — Ildefonsizm, czyli serwilizm w poezji.

Imaginacyjny portret K. I. Gałczyńskiego

Jakże łatwo zatytułować to ponure zjawisko, któremu na imię Konstanty Ildefons Gałczyński! Ten tragi-komiczny konglomerat bluffu, alkoholu, autoreklamy, tupetu, wielkiego talentu lirycznego i jeszcze większego braku charakteru. Charakteru, o którym ktoś powiedział, że jest dla twórcy tym, czym higiena osobista; najatletyczniej zbudowany mężczyzna bez czystości zamienia się w słup brudu.

Cóż za przedziwna synchronizacja! Tego samego tygodnia, kiedy w stołecznym królewskim mieście Krakowie, gdzie wisi cierpliwie Dzwon Zygmunt i na to wszystko nie grzmi, gdzie stoi Wawel i na widok tej moralnej smoczej jamy nie wali się w gruzy, zgraja cynicznych najmitów w świętokradczo przywłaszczonych sobie mundurach i polskich odznakach „sądzi" na pokazowym procesie czarownic docentów uniwersyteckich i działaczy chłopskich, tak — w tym samym tygodniu ponury wesołek, K. I. Gałczyński, który snać po ojcu swoim-zakrystianie, odziedziczył zamiłowanie do kadzidła i do ministrantury, uważa za stosowne na miedzianej trąbie jerychońskiej wydmuchiwać pochwały „nowej rzeczywistości". Wiersz nosi tytuł: „Pochwała Muzy" (Odrodzenie, nr 32).

Oto są przebłyski rymowanej publicystyki K. I. Gałczyńskiego, modnego poety po kroju, niestety, „Przekroju":

„Maniaków Zachodu oświeć, że jesteśmy blokiem wschodnim — Euterpe, Alleluja!"...
„Ty nas przemienisz z jagiellońskiej hałastry w piastowską gromadę..."
„Ty z naszej Ligi Morskiej uczynisz organizacyjną potęgę"
„Ty wszystkich Polaków wspólnie do wspólnej Polski zaprzęgniesz..."
Euterpe, Alleluja!

Kiedy żałosny sclavus saltans fałszywym dyszkantem intonuje „Te, Bierutem laudamus", kiedy macza swe gęsie pióro w brudnej wazelinie, kiedy pragnie „oświecić maniaków Zachodu", że „jesteśmy blokiem wschodnim", kolega jego, nie piszący wierszy, obywatel-prokurator Wojskowego „Sądu" Rejonowego w jagiellońskim mieście Krakowie, również „przemienia jagiellońską hałastrę" w „piastowską gromadę". Ideał poety sięga bruku! Poezjo, na ulicę! Zbłądziłaś pod strzechy... wojskowych rejonowych samosądów. Ciesz się, późny wnuku! Spamiętajcie sobie, historycy literatury: nasze ptaki sięgają skrzydłem bruku; poezjo nasza, słynna na cały świat ze swego wysokiego lotu, pełzaj na czworakach, w krakowskim rynsztoku, u bram wojskowego sądu rejonowego!

„Hałastra jagiellońska" po odpowiednim spreparowaniu, zasypuje się bez litości. Jeden z tych skajanych nieszczęśliwców woła:

„Państwo mi nigdy nic złego nie zrobiło, ale ja państwu tyle zła wyrządziłem!".

Boże drogi, z tego nonsensu już nawet śmiać się nie można, nad tym się już nawet płakać nie chce.

Na sali sądowej — jak donosi dziennikarz z „Głosu Ludu" — widzimy specjalnie przybyłe na tę uroczystość delegacje związków zawodowych w strojach regionalnych, a w czasie zeznań Stanisława Mierzwy chamstwo na sali od czasu do czasu wybucha śmiechem. Upiorne! Śmieją się! Śmieją się, kiedy osaczony, zaszczuty, sponiewierany człowiek próbuje rozluźnić zarzucone mu na szyję lasso, kiedy próbuje się wywikłać z sieci mongolskich intryg... (Czy pan się też śmieje, panie Gałczyński? Bo Pański kolega Minkiewicz, na pewno się śmieje. Kto wie, czy w tej chwili nie wysila swego zeusowego czoła nad fraszką do „Szpilek". Taki piękny kalambur, Mierzwa — he-he, 500 złotych za dwuwiersz jak byk!).

Stanisław Mierzwa — wrogiem ludu, wrogiem demokracji! Nie jakiś hrabia Potocki, książę pan Radziwiłł, lecz — słuchajcie — Mierzwa ze Stronnictwa Ludowego!

Z obrzydzeniem spoglądam na zdjęcia. Za pochylonymi głowami oskarżonej „hałastry jagiellońskiej", za pognębionymi „maniakami Zachodu" — widać już, Euterpe Alleluja, przemienioną „gromadę piastowską". Szpaler zadartonosych, tępookich „chłopów-morowców" w pomiętych rogatywkach, z pepeszami w ręku!
Euterpe, Alleluja!
„Ty wszystkich Polaków wspólnie do wspólnej Polski zaprzęgniesz"...

— — — — — — — —

W roku 1936 Gałczyński ogłosił z Wilna manifest poetycki „Do przyjaciół z „Prosto z mostu". Czego tam nie było!

„Poezja musi być silniejsza — wołał przez mosiężną tubę — niż śmierć i faryzeusz i generalny inspektor sił zbrojnych"!...

„...Być poetą to przede wszystkim być człowiekiem niemałym!"

„Nie lękaj się: ani ogromu cierpienia, ani ogromu radości; ani owych, co prawdę ukrywają podle. Qui veritatem injuste detinent.

„Nie lękaj się!...

„Ciebie nie oblepi ślimacza ślina pochlebców. Ty zostaniesz: słoneczny, grecki, chrześcijański... Nie lękaj się, kłamliwych koniec śmierć jest. Finis illorum mors est... I wiedz, że światopogląd poety nie może być inny jak chrześcijański. Powołanie poety i chrześcijanina to jak dwa koła o promieniu jednakim"... A poeta jakimże ma być? „Żeby kochały go dzieci i bali się monarchowie"...

„Poezja jest nabożeństwem nieustraszonych... To właśnie ta wasza miłość ludzka, ten wieczny strach, ta psychologia ucieczki karliły naszą lirykę dotąd. Silnych nie zatrujecie i nie kupicie...".

Mistrz Gałczyński anno Domini 1936 tak kazał do skamandrytów:

„Na dnie waszej poezji (o ile się godzi mówić o dnie kałuży), nigdy nie było człowieka. Trwoga? tak! gniew? tak! nienawiść? o, tej najwięcej... ale nigdy człowiek, pełny, słoneczny, oceaniczny człowiek-chrześcijanin..."

Co nam zostało z tych lat, panie Ildefonsie? Zielona gęś na reżimowym sznurku, łaska pana Borejszy, Kuryluka i patre wierszyki na zamówienie w rodzaju:

„autobus coraz bardziej staje się domem,
wspólny autobus,
wspólny interes,
wspólna dola i robota,
wspólna piosenka i cel,
wspólna, parda, odwaga,
co tu gadać: czerwień i biel:
wspólna na maszcie flaga".

Kochają pana dzisiaj monarchowie, ale czy dzieci pokochają?... Jak pan to pięknie powiedział? „Poezja jest nabożeństwem nieustraszonych".

Tadeusz Nowakowski

UCIECZKA

napisał JANUSZ KOWALEWSKI

Tajga szumiała bulgotem strumieni, szmerem strużek i tysiąca ścieczków gwałtownie topniejącego śniegu. Z łoskotem i chrzęstem pękała Pieczora. Polarna przyroda, dysząc ciężko, odrabiała swoją oszołamiającą normę kosmiczną. Słońce — kosmiczny brygadier — stało nad nią cały dzień, prawie bez przerwy nocnej, i poganiało biczem skośnych promieni: „skoreje, skoreje" (prędzej). Schodziło na małą tylko chwilę i zaraz wstawało w tym samym prawie miejscu, gdzie kładło się na swój stachanowski kosmiczny spoczynek.

Ziemia miękła i parowała jak suchar rzucony na gorącą blachę. Rozpoczynała odróbkę normy — normy rodzenia. Blada jeszcze, ale już bujna, ruń wyrywała się niemal spod śniegu. Wczesno-wiosennym zapachem pachniał zimny jeszcze las.

Pierwsza „barża" spłynęła do bazy. Przez trzy dni Kościółek i ja chodziliśmy na rozładunek z brygadą tragarzy. W rezultacie „stachanowskiego dwiżenia" majątek nasz powiększył się o trzy kilo cukru, dziesięć kilo mąki, dwadzieścia paczek „koroszków" (rodzaj machorki) i trzy słoiki „kombiżyru" (tłuszcz). Niezależnie od tego, Zarzycki wyrwał od „łariocznika" (sklepikarz) Miszy osiem niebieskich paczek grodzieńskiej.

Byliśmy gotowi. Przepisaliśmy się z Kościółkiem do brygady drwali.

Ucieczkę wyznaczył Czesiek (Zarzycki) na 28 maja, jako że meteorolog łagierny (b. dyrektor moskiewskiej stacji meteorologicznej) spodziewał się na ten dzień pogorszenia warunków atmosferycznych — deszczu i wiugi, co Czesiek uważał właśnie za „idealną pogodę".

W pierwszej fazie na moje bary złożone było wykonanie najpoważniejszej części planu. Ja rozpoczynałem. Tej nocy spać nie mogłem. Wydawało mi się, że wszystkie pluskwy i wszy łagierne zeszły się do mnie na sabat. Myśl opracowywała dokładnie każdy szczegółik taktyczny, każde słowo i ruch z grubsza naszkicowanego przez Cześka planu strategicznego. Nie wiadomo, jakie skojarzenie przyniosło mi wspomnienie czytanych przed samą wojną pragmatystów amerykańskich, Williama Jamesa i Johna Deweya, którzy myśl łączą tylko z działaniem praktycznym i nie uznają w procesie psychicznym istnienia myśli oderwanej, „bezinteresownej".

Rano przed „rozwodem" (wypędzanie do pracy) zjawiłem się w ambulatorium Cześkowym. Pod pachą miałem termometr, nastawiony dokładnie na 38. Jak zwykle w takich wypadkach, odegraliśmy komedię wrogości i przeprowadziliśmy szybko zmianę termometrów. „Rozrobiłem" wrzask o zwolnienie, którego on nie chciał mi dać.

— Ty lekpom? Ty „parazyt" (pasorzyt)! Ty „izdiewatel" (dręczyciel)! Morderca roboczej masy! Sumienia nie masz za grosz!.

— 38 to jeszcze nie śmierć. Żeby choć pół kreski więcej — dałbym. A tak nie mogę, nie wolno — mówił swym głosem ślamazarnym, tak dobrze znanym mi ze szkoły i ani o pół tonu nie zmienionym od tamtych czasów. Zgrabnie wsuwał mi za pazuchę pęcherz z juchą, która miała imitować moją krew.

W baraku, w kolejce do kuchni po kaszę poranną, przed bramą „na rozwodzie", każdemu, kto chciał lub nie chciał słuchać, opowiadałem, jaka to swołocz bez sumienia z tego „lekpoma" (pomocnik lekarski). Z gorączką na robotę mnie wygania, mimo że Polak! Skarżyłem się krzykliwie i „strielkowi" (żołnierz NKWD, konwojujący więźniów) już za bramą.

— Idiż ty na... Parazyt, symulant. Pracować ci się nie chce. Sumienia nie masz. Odojdi, a to strelat' budu! Liczyć przeszkadzasz.

Z liczeniem zawsze miał kłopot. Był to dla nas jeden z niewielu ale stały moment wesołości w życiu łagiernym. Niezmiennie radziło mu się, aby psa wziął za „szczotowoda" (buchalter). Wreszcie obliczył. Westchnął głęboko. Stanął w postawie jakby na baczność. Nabzdyczył się i wygłosił jednym tchem:

— Zakliuczonyje! Wnimania (Uwaga)! Uprzedzam: w razie niepodporządkowania się wymaganiom konwoju, lub próby ucieczki, konwój użyje broni bez uprzedzenia. Szag w lewo, szag w prawo szczytajetsia pabiegom. (Krok w lewo, krok w prawo będzie uważany za ucieczkę) Poniali?

— Poniaaali, grażdanin strielok — poszedł jęk zmieszany ze śmiechem.

— Nu wot. Tak szagom marsz!

— Ot, durny szmaciarz. Ciągle w kółko to samo. Uciekać mu tu kto będzie spod bieguna. Uch by ich... — powiedział głośno Kościółek i spojrzał na mnie. Nerwowo dotknąłem boku, gdzie krył się pęcherz z juchą...

Brygada wyciągnęła się na drodze nierównym szarym jaszczurem. Na początku szedł brygadier. W ogonie — konwojent z psem. Błyśnie pod słońce tu i tam to ząb topora, niesionego na ramieniu, to koronka piły dwuręcznej. Szliśmy wzdłuż spienionego szumu Pieczory, samym brzegiem. Z przerażeniem patrzyłem w zimny, głuchy łoskot rzeki. Ja mam... Brr. Po drugiej stronie odmętu majaczyła zamglona niebieskość Uralu. Głośniej zaczłapały walonki i „czunie" (chodaki z gumy i szmat) na mostku, rzuconym przez strumień, spieszące do Pieczory. Nagły skręt drogi pchnął nas w stronę lasu, który, czarny z daleka, poszarzał teraz, pozieleniał, otworzył się. Nerwowo zmacałem pęcherz z juchą...

Kościółek, zgodnie z planem, poszedł w jar, aby w upatrzonym wczoraj miejscu rozpocząć ustawianie kopca z kloców. Ja rozpaliłem ogień i ułożyłem się obok pachnącego żywicą i taniną dymu, od „nawietrznej", (jak było w książce Londona). W parowie tępo uderzyły siekiery, ostro zazgrzytały piły. Po drugiej stronie dymu stanął konwojent z psem.

— Czemu nie pracujesz? Sumienia ani kropli w tobie, parazyt ty niebłagonadiożnyj...

— Mówiłem ci rano, czy nie mówiłem, że jestem chory? Mówiłem... — Oddarłem równo kawał „Prawdy" i sypałem machorkę. Poprzez dym doszedł mnie wrzask „strielka".

— Nie rycz. Nie twoja sprawa. Twoja sprawa pilnować, aby nie uciekli. A ja ciężko chory...

Zawołał brygadiera. Kazał, aby zmusił mnie do pracy. Brygadier apelował do mego sumienia i kultury.

— Dobrze, pójdę, ale na waszą odpowiedzialność, „bezsowiestnyje wy ludi" (sumienia nie macie). — I ruszyłem leniwo w głąb jaru do Kościółka. Zwijał machorkę w strzęp „Prawdy". Ręce mu drżały.

— Bądź spokojny, Kazik — powiedziałem. — Musi się udać. Wszystko obmyślone — a głos mi drżał, jak jego ręce.

— Czy aby Cześka puszczą z łagru ?

— Dlaczego nie mają puścić? Zawsze puszczają. Rozkonwojowany... Chorego z gorączką wygnał na robotę: musi przyjść, dojrzeć... Musi się udać — powtarzałem automatycznie, jak zaklęcie. Im mniej wierzyłem w całe to szalone przedsięwzięcie, tym częściej powtarzałem: „musi się udać".

Znosiliśmy kloce na kupę. Wydawało się, że drzewo nie ma dzisiaj ciężaru. Trzymetrowe, grube na chłopa bale, które zawsze taszczyło się z takim wysiłkiem, dziś były lekkie. Rusztowanie rosło.

— Kopiec Stalina — powiedział Kazik — niech mu nasze przekleństwa lekkie będą...

Przyszedł brygadier , popatrzył na sąg:

— Po co wam, durnie, męczyć się i stawiać tak wysoko? Ułóż na metr, nie wyżej, i starczy...

— Odczep się. „Pa stachanowski nada rabotat'" — powiedziałem.

„Po nowomu, kulturno" — dorzucił Kościółek.

— „Strana żdiot syria" (kraj czeka na surowiec) — powiedziałem poważnie.

— Ty normie, norma tobie — warknął Kościółek i podjął basem znaną pieśń:

Ja drugoj takoj strany nie znaju,
gdie tak wolno dyszyt czeławiek...

(Dużo bym dał za to, aby wiedzieć, czy pieśń tę napisał genialny kpiarz, czy genialny kłamca, czy zwyczajny dureń).

— Uch, Polaki, gady. Z nimi po ludzku, a oni jak te wilki „izdiewajutsia" (kpić, dręczyć fizycznie i moralnie) — powiedział brygadier i odszedł. Popatrzyliśmy na swój kopiec wolności. Wysoki był na chłopa, odpowiednio osłonięty krzakami i odpowiednio wywrotny. Usiadłem na pniu zwalonej wczoraj „jołki". Kościółek wyciągnął obok swoje zwaliste, potężne członczyska. Łapczywie ciągnął machorkę razem z „Prawdą". Pociągnęło wilgotnym zimnem. Ołowiaste chmury zabiły martwo-niebieską przestrzeń nad martwo-zielonym lasem.

— Czy aby go puszczą?

— Uda się, musi się udać — odpowiedziałem automatycznym odzewem i nerwowo pogładziłem bok, gdzie był pęcherz z juchą.

— Będzie deszcz...

— Albo śnieg...

— Nie daj Boże śniegu: ślady — powiedziała wiecznie czujna przezorność Kościółkowa, skrywana zwykle pod pozorami lekkomyślnej beztroski.

— Taki tam śnieg: zaraz stopnieje — powiedział mój wieczny optymizm, markowany zwykle pozorami powagi. I nagle:

Buuuu... Bu-bu. Długi, dwa krótkie. Kazik skoczył, jakby go lufa strielkowego karabinu poderwała z ziemi. Ja chciałem wstać majestatycznie i powoli, aby udawać spokój, którego nie miałem, ale pień „jołki" chapnął mnie za portki.

— Rusz się! — syknął Kościółek. — Nie słyszysz: Czesiek przyjechał.

—Słyszę, ale żywica mnie trzyma. — Zebrałem pludry w garść i szarpnąłem, aż wata poszła z „briuków". Nerwowo uderzyłem się po kieszeni, gdzie była jucha. Podparliśmy się pod stertę kloców. Z churkotem runęły w susach po stromej nierówności parowu w głąb, gdzie gardziel wądołu przechodziła w wąską szyjkę. Macając kieszeń, czy aby nie wypadł pęcherz z juchą, zsunąłem się w dół, wczołgałem pod wielki kloc, rozdarłem pęcherz z juchą i wychlustałem wszystko na głowę i szyję Kościółka, krzycząc wariacko, jak na przesłuchaniu w NKWD, spadł zaraz za mną i naciągał na mój „krwawiący" kadłub co większe bele. „Uda się, musi się udać" — powtarzała moja myśl. Zbiegli się ludzie i zaczęli ściągać pnie, które Kościółek pracowicie był na mnie narzucił.

— Szto eto za biezobrazje? (nieporządek) — usłyszałem z oddali, z góry głos konwojenta.

— Przyjdź i zobacz, sukinsyn! — krzyknął ktoś tuż nad moim uchem. Obmacują mnie czyjeś ręce. Kościółek nie dopuszcza (przytomny!). Krzyczy, że tu trzeba lepkoma, że człowieka zmiażdżono na śmierć... Za chwilę słyszę głos Cześka:

— Przenieście go na samochód. Ostrożnie!

— Teraz mówi „ostrożnie", a chorego do roboty wygnał! Gdzie twoje sumienie. Ty w rot, w gorwo, w gwaza, w wuszy. Gwazaby tabie wyszybat — krzyczy mój przyjaciel, Wania Kitajec, komunista chiński. Nigdy nie klął. Ogromnie śmiesznie, twardo, brzmią przekleństwa w ustach Wani. Melodyjny jest język rosyjski, ale kiedy klnie, to już wprost śpiewa u Wani zaś były prawdziwe przekleństwa. Mój „zmiażdżony" zewłok całą siłą wstrzymywał śmiech na „skrwawionej" gębie. Czesiek Zarzycki — czuję po zapachu ambulatoryjnym — ujmuje mnie pod barki. Kościółek, zawodząc pod nogi, Wania, wciąż grożąc, że „gwaza" wyłupi, podtrzymuje pod grzbiet. Prawą ręką, zwisającą do ziemi, uszczypnąłem z uciechy Cześkową łydkę. W odpowiedzi kolanem kopnął mnie w kręgosłup na znak, że on też czuwa. Ułożyli moje ciało na deskach samochodu, podsunęli pachnących gałęzi pod spocony czerep. Słyszę, że Czesiek wrzeszczy. Zorientowałem się, że konwojent nie chce puścić z nami Kościółka, który jest „podkonwojny"... Przerażenie ogarnęło moje zwłoki.

— Ja za niego odpowiadam. Musi jechać i tamować krew, trzymać głowę... Czyś ty człowiek, czy sobaka? Gdzie twoje sumienie? Pamiętaj, że złożę raport...

— Niech brygadier jedzie. On rozkonwojowany — mówi strielok.

— A mnie jeden czort — ryczy Czesiek. — Niech będzie i brygadier, byle już, bo krew z niego uchodzi... Brygadier gotów?

„Zwariował chyba, jak Boga kocham" — pomyślał mój zajuszony czerep. Ale on był gracz nad gracze.

— Ty durny, chyba, nie wiesz, że mnie nie wolno odchodzić od brygady? — powiedział brygadier. — A jak ludzie się rozbiegną, kto będzie odpowiadał?...

Motor warknął. Wóz rusza. Jakiś krzyk, słyszę, zostaje za nami. Podrzuciło parę razy na wybojach. Kościółek szepce mi nad uchem:

— Aby tylko nie strzelał... Te, zmiażdżony, jak się czujesz?

Otworzyłem oczy i głęboko westchnąłem. Za nami wszystko ucichło. Nerwowo dotknąłem kieszeni, gdzie był pęcherz po jusze końskiej, imitującej moją krew. Wybrnęliśmy z poręby na dróżkę. Jeden zakręt, drugi, trzeci. Wóz zwalnia. Stajemy na mostku. Kościółek wyskakuje wprost do strumienia. Czesiek ciska w niego trzy wory jeden po drugim, po czym sam wyskakuje z szoferki wprost w strumień (chodzi o to, aby nie dotknąć stopą ni mostku ni ziemi, by psy nie zniuchały śladu). Teraz ja przełażę do szoferki na miejsce Cześka, by wypełnić ostatnią część pierwszej partii zadania: utopić samochód, wraz z sobą, w zimnym odmęcie huczącej Pieczory — ponieważ ja jeden z nas trzech pływam lepiej niż chodzę. Spuszczam wóz z ręcznego hamulca — nożne, zgodnie z planem popsuł Czesiek w drodze na porębę (aby po odnalezieniu wozu ustalili „przyczynę wypadku") — i toczę się zrazu powoli, potem coraz szybciej ku szumowi Pieczory. Widzę szare piekło z lejami pian, zjeżone krą. Podchodzi ku mnie. Już przednie koła chwytają pochyło brzeżysty spad. Hamuję i popuszczam, hamuję i popuszczam — wóz ślizga się po zielonej stromiźnie. Pieczora wzdyma się i podchodzi tuż pod nos. Staję na stopniu. Puszczam hamulec i kierownicę... Miękko bokiem zsuwam się... Odbita od brzegu masa wodna chce mnie rzucić dalej ku środkowi. Znam się na tym i ustawiam się prostopadle do brzegu, głową ku brzegowi, bijąc z całych sił w stronę brzegu, który mnie od siebie odpycha. Brzeg przerywa się nagle i wpływam w ujście strumienia. Jest zamulone, płytkie. Woda sięga tu do kolan. Biegnę przeciw biegowi potoku co sił w zdrętwiałych nogach. Nie wiem kiedy dochodzę Kazika i Cześka. Kazik podaje mi bez słowa mój worek. Pędzimy po dnie strumienia, zawadzając o pnie, korzenie, gałęzie nadbrzeżnych drzew, padając od czasu do czasu. Przedzieramy się w milczeniu przez wodę, która chwilami sięga kolan, niekiedy — kostek tylko. Dalej i dalej.

Śnieg. Biegnący przodem Czesiek zatrzymuje się i my stajemy za nim, dysząc. Krew szumi w skroniach, jak Pieczora, a serce bije szybko i głośno jak topór stachanowca. Śnieg jest mokry, rozlazły, topniejący, gdy tylko dotknąć.

— Można wyjść z wody i biec po brzegu. Śnieg zamyje zapach śladów — mówi Czesiek i wspina się po śliskiej spadzistości jaru. My za nim. Instynktownie pochylamy się i pędzimy przed siebie wysokim brzegiem strumienia. Jest od razu cieplej. Para idzie z naszych szmat. Zwalniamy nieco. Szmatławy śnieg zacina z wielu kierunków.

— Trzeba iść raczej ostrożnie, niż spiesznie — powiada Czesiek. — Pościgu za nami nie wyszli, pewni, żeśmy potonęli. A wiecie, że Ormiaszka się domyślał! Gdy dawał mi wóz, narobił krzyku ,na całą zonę, sądzę, po to, żeby mieć alibi. On wmówi w nich, żeśmy utonęli... Nad ranem staniemy w mojej osadzie.

Znowu przyspieszmy kroku.

Myśl w kółko powtarza to, co Czesiek opowiadał o „swojej" osadzie. Była to wioska zoriacka, którą w 37 roku uratował od epidemii tyfusu plamistego. Wszyscy lekarze łagierni zostali wówczas wysłani do osad, do których przychodził tufus, w miarę jak socjalistyczne budownictwo załagierne posuwało się na północ szlakiem od Kotlasu do Workuty. Wódz osady powiedział mu wtedy:

— Świętem będzie dzień, gdy wielki doktór zawita do nas jako wolny i święte zawsze będą ślady stóp jego.

W osadzie mieliśmy odpocząć, przebrać się, przecharakteryzować i rwać dalej na południe w stronę Kniaż Pogoska.

Od tych myśli spokojniejsze wszystko we mnie i bezpieczniejsze cały las dookoła.

— A jeśli ich wywieźli, albo coś takiego? — mówi nagle Kazik, który widać też o tym myślał.

Czesiek nie słyszy, albo udaje, że nie słyszy. Przyspiesza znowu. Gnamy...

Cambridge

Kiedyś wczesną wiosną, ujrzałam to drzewo o czarnych, grubych, poskręcanych konarach, jak wyłaniało się z mgły, niby niesamowita stwora, makbetowska wiedźma, pochylona nad dymiącymi oparami diabelskiego kotła.Przypomniało mi ono dziwaczne rysunki Blake,a lub Beardsley'a. Dzisiaj drzewo przyodziało się w soczystą zieleń drobnych listków, czarne żyłki gałęzi znikły pod festonami szmaragdowej koronki. Stoi ono na przystrzyżonej, seledynowej łące, rzuca kolisty fioletowy cień i rozbrzmiewa świegotem ptaków. Jest pogodne i sielankowe.

Te wielkie, jak gdyby rozbuchane zielenią drzewa, na aksamitnych trawnikach, są niezwykle charakterystyczne dla pejzażu angielskiego, który sprawia wrażenie wielkiego, przestronnego parku. Gdzieniegdzie kwadraty rudawej pszenicy, lub srebrnego owsa plamią jednostajną zieleń łąk. Gdzieniegdzie fioletowe smugi kapusty, gdzieniegdzie kwitnie pomarańczowo fasola, biała seradela, lub różowawa, słodko pachnąca koniczyna. Wszędzie bukiety wspaniałych, wybujałych drzew, wiązów, dębów, topoli, wierzb. Stoją od wieków, rosochate, rozrosłe i potężne. Widocznie na dnie anglosaskiej duszy dziś jeszcze drzemie celtyckie uwielbienie dla drzew-bogów.

Wśród równo postrzyżonych łąk i wiekowych drzew, spięta klamrami omszałych, kamiennych mostków, płynie zielona i senna rzeka Cam. Nad nią wyrasta nieco senne i urocze Cambridge — królestwo brytyjskich mężów stanu i filozofów, artystów i naukowców. Tutaj, w cieniu gotyckich krużganków, kształcili się młodzieńcy, którzy budowali potęgę Imperium Brytyjskiego.

Nie będę pisać ani o historii, ani o znaczeniu Cambridge. Jest mnóstwo przewodników, które mówią o tym szeroko i dokładnie. Nie wspominają natomiast o niezwykłym uroku tego miasta. Oczywiście i tu zdarzają się ulice jednakowych, ceglanych domów, sklepy Woolwortha, Bootsa i tp., jak w tysiącach innych miast angielskich, ale nigdzie nie widziałam tylu okazów przepięknej architektury gotyckiej, renesansowej, barokowej i klasycznej. Gotyk, surowy, z początku XIII wieku, do lekkiego powiedziałabym, rokokowego prawie w swej ozdobności gotyku z okresu ostatnich Tudorów.

Kings Chapel, zbudowany z białego portlandzkiego kamienia, sprawia wrażenie cacka z kości słoniowej. Późny gotyk angielski („perpendicular"), nie jest tak strzelisty jak gotyk francuski, a łuk jego, opisany jakby na prostokącie, po środku tylko, z lekka zaznacza ostrość załamania. Za to sklepienie pokryte jest misterną koronką ornamentu i żebrowania, które zbiega się w różę, oset, lub kratę — znaki herbowe najczęściej w Cambridge spotykane.

Kings College sąsiaduje z pięknym, renesansowym Kolegium św. Katarzyny — z jednej strony — i z wczesnym lekkim barokiem Kolegium św. Klary, z drugiej. Sir Christopher Wren zbudował bardzo wersalską w charakterze bibliotekę w Trinity College, która jednoczy w sobie i gotyk i odrodzenie i wpływy klasyczne.

Jednym z najbardziej uroczych zakątków jest chyba gotycki „most westchnień", przerzucony nad rzeką Cam, w St. John's College. Przez ostrołukowe, oszklone okna mostu widać ciemnozieloną,zadumaną rzekę, płynącą wśród zielonych gałęzi płaczących wierzb i tulącą się do omszałych murów z zielono-czerwonej cegły, gotyckiego refektarza. Dziwnie romantyczna aura owiewa te wiekowe kolegia i uczelnie. Doznaję nagle tego samego uczucia nierealności, jak kiedyś w Brugges, lub w Wenecji, oderwania się od rzeczywistości. Wydaje mi się, że wypadłam z orbity nowoczesnego życia i jego nerwowego tempa. Czas płynie powoli i sennie, jak rzeka Cam.

Kings College

Wzdłuż ulicy Kings Parade ciągną się długim szeregiem kolegia i zabudowania uniwersyteckie. Po drugiej stronie zielony skwerek, gotyckie kościoły, antykwarnie, sklepy, księgarnie. Czasami szare tony kamiennych budynków przetnie biel domu i pręgi czarnego dębowego belkowania, tak charakterystycznego dla architektury angielskiej XVII wieku. Czasami zaczerwieni się cegła.

Na samym końcu Kings Parade, wśród małych, prawie podmiejskich już domków, wyrasta niespodziewanie wielki, szary gmach, w stylu klasycznym, z doryckim, kolumnowym perystylem. To muzeum Fitzwilliam — muzeum, o którym, w przewodnikach skromna tylko wzmianka a które w swym ogromnym bogactwie można przyrównać prawie-że do Louvre'u. Jacyś bardzo zamożni panowie zbierali dzieła sztuki, ale przyznać trzeba, że znali się na nich dobrze. Zbiory ich przeszły na własność publiczną i stały się dostępne dla wszystkich. Niewielu jest zwiedzających, bo niewielu wie o istnieniu owego muzeum. Zbiory te, po dziś dzień noszą jeszcze pewne znamiona prywatności. Wspaniałe obrazy, prześliczne meble, tu i tam porozrzucane rozkosznie perskie dywany, w wazach z najszlachetniejszej porcelany świeże kwiaty. Harmonia, cisza, skąpane w łagodnym, rozproszonym świetle spływającym z oszklonych sufitów.

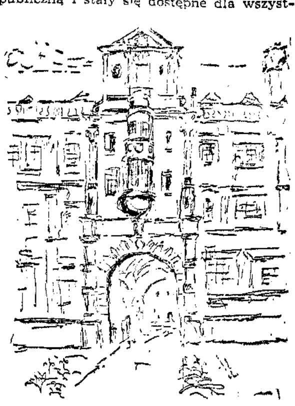

Kolegium św. Klary

Patrzę na autoportret Rembrandta w szkarłatnym stroju i wizerunek jego syna, chłopczyka w brunatnym ubraniu, z jasnoróżową plamą uśmiechniętej twarzy. Kiermasz starszego Breughel'a, srebrzysty pejzaż Hobbemy, pełna radości życia „Święta Rodzina" Rubensa.

Sala Włochów: Tintoretto i jego uczeń Bassano, tycjanowska Venus słuchająca gitarzysty na tle głębokiego pejzażu, Palma, Veronese. I sjeneńczycy z Simone Martini na czele. Urocza legenda Amora i Psyche, namalowana przez ucznia Botticellego, florentyńczyka Jacopo del Sellaio. Różowo-perłowe, pełne niezwykłego czaru „Zwiastowanie" Domenica Veneziano, mały obrazek, harmonijny jak utwór muzyczny. Delikatna, niebieska „Madonna" Maestra del Castello.

Są Flamandowie, Holendrzy, Hiszpanie — wczesne okazy szkoły andaluzyjskiej, dramatyczne zdjęcia z krzyża, w chłodnym, fioletowym kolorycie, szkoła sewilska, aragońska, kastylska... Są Anglicy z okresu elżbietańskiego, poprzez wiek XVIII: naiwny Highomore, Reynolds, Gainsborough, Lawrence, Romney, poprzez Crome'a, Constable'a, Turnera do Augustusa Johna i Christophera Wooda.

Francuzi: sztychy i rysunki Clouet'ów, Watteau, Boucher, pejzaże Gaspard, Poussin, Coubert, Corot. Renoira dziewczyna w żółtym kapeluszu i piękny pejzaż z rozwianymi chmurami. Pani w palcie w czarną kratę Matisse'a, przepiękna w lekkim kolorycie i prostocie. Bonnarda owoce i pejzaż w soczystych i załamanych jednocześnie tonach. Sisley, Vuillard, Pissaro, Picasso.

A poza tym cała masa sztychów, wśród których nie brak Rembrandta, Poussina i Claude Lorain. I to dopiero pierwsze tylko piętro.

Na parterze wspaniałe kolekcje majolik i porcelan. Tutaj wykwintne sewry i emalie z Limoges sąsiadują z wdzięcznymi fajansami bretońskimi i normandzkimi. Lśniąca glazura hiszpańsko-mauretańskich ogromnych talerzy. Oto fajanse z Florencji, Perugii, Faenzy i Deruta. Błękitno-białe holenderskie Delfty. Niezrównane w kształcie i w kolorze wazy chińskie, japońskie, perskie i indyjskie. Wreszcie niezwykle bogate zbiory porcelan i majolik angielskich, tak słabo znane na kontynencie, a tak różnorodne i ciekawe.

Obok tego kruchego i wdzięcznego sezamu — sale haftów, kobierców i tkanin. Począwszy od abisyńskich, wschodnich, a skończywszy na zabawnych, prymitywnych gobelinach norweskich. Na stołach, pod szklanymi pokrywami, olśniewają barwnością wykwintne miniatury perskie, hinduskie oraz europejskie z czasów średniowiecza i wczesnego Odrodzenia.

Z miniaturami sąsiadują wazy etruskie i greckie oraz rzeźba starożytna. Grecka stella obok rzymskiego sarkofagu. Olimpijski potężny Jowisz wpatruje się w podłużne malowane oczy edipskiej księżniczki. Dwie płaskorzeźby asyryjskich królów w czarnym bazalcie ujmują w klamrę drzwi, na których napis głosi: dla publiczności wstęp wzbroniony. To dobrze, bo już nie można patrzeć więcej. Oczy przestają chłonąć.

Schodzę po kamiennych, szarych schodach, na uliczkę, skąpaną w jasnym, upalnym dniu. Na przeciw, w białej oberży „Pod Czerwonym Lwem", można się napić chłodnego, złotego piwa.

Alicja Drwęska
(Rysunki autorki)

KONKURS LITERACKI

Instytut Józefa Piłsudskiego dla Badania Najnowszej Historii Polski, Oddział w Londynie powołany do życia w dniu 19 marca 1947, ogłasza konkurs na pracę na temat stosunku współczesnego pokolenia młodzieży polskiej do Józefa Piłsudskiego.

Instytut zdaje sobie sprawę z tego, że z postacią Józefa Piłsudskiego, jego ideami i pojęciami wolności i państwa związał się w okresie walki cały naród.

Że stał się on jeszcze w większej niemal mierze niż za życia wychowawcą i wodzem.

Że najsilniej zespoliła się z nim młodzież idąca w pierwszych szeregach walki w kraju czy na obczyźnie, w starciach orężnych czy konspiracji.

Ujawniło się to w licznych wypowiedziach, artykułach, wspomnieniach, poezji.

W kulcie dla jego imienia, w szacunku dla jego słowa, w wierze w jego idee.

Praca może być potraktowana ogólnie lub osobiście. Może być w formie artykułu, essey'u, odczytu, dialogu lub szkicu.

Zawierać może do 20 stron pisma maszynowego (może być rękopis).

Udział w konkursie może wziąć każdy Polak lub Polka o nieprzekroczonym wieku lat 30.

Nagrody za najlepsze prace wynoszą: I nagroda — £ 25, II nagroda — £ 15, III nagroda — £ 10.

Do sądu konkursowego zaproszono: Stefana Benedykta, Stanisława Biegańskiego, Zofię Biernacką, Janusza Głuchowskiego, Zofię Wańkowiczową.

Termin nadsyłania prac do 1 grudnia 1947 pod adresem 42, Holmbush Road, London S.W. 15.

Prace winny być nadsyłane bezimiennie, zaopatrzone jedynie w godło, wraz z zapieczętowaną kopertą, zawierającą nazwisko, wiek i adres autora (autorki).

Prace stają się własnością Instytutu, który zastrzega sobie prawo ich wykorzystania po porozumieniu z autorami.

NOWE KSIĄŻKI

W oczach pisarzy, wybór opowieści wojennych 1939 — 1945. Opracował Gustaw Herling-Grudziński. Str. 401 + 3 nlb. Wyd: Instytut Literacki. Rzym, 1947.

Ks. Józef Warszawski T.J. (Ojciec Paweł): Myśl jest bronią, rozważania. Str. 222 + 2 nlb. Na okupacji (Niemcy), 1947.

Wojskowy i konspiracyjny wysiłek Polski we Francji 1939 — 1940. Str. 104 + 8 nlb. 5 tablic poza tekstem. Wyd. Wydziału Kult.-Oświatowego Polskiej Wojskowej Misji Likwidacyjnej we Francji. Bez miejsca (Francja), 1947.

A. Bogusławska: Ludzie walczącej Warszawy. Str. 183 + 1 nlb. Zachodnie Niemcy, 1947.

Bolesław Miciński: Portret Kanta i trzy esseye o wojnie. Słowo wstępne K. Regameya i ks. Augustyna Jakubisiaka. Okładkę projektował S. Gliwa. Str. 98 + 2 nlb. Wyd: Instytut Literacki. Rzym, 1947.

Na marginesie wydarzeń: Blok państw amerykańskich

(r) Podpisanie w Petropolis w Brazylii traktatu, który związał sojuszem wszystkie państwa amerykańskie — za wyjątkiem Kanady, która nie należy do Związku Panamerykańskiego oraz Nikaragui i Ekwadoru ze względu na panujące tam obecnie stosunki wewnętrzne — uchodzi słusznie za wielki triumf dyplowacji amerykańskiej. Stara dotkryna Monroego, zamykająca państwom pozaamerykańskim drogę na kontynenty Zachodniej Półkuli, doznała teraz ukoronowania. Na straży jej stały początkowo tylko Stany Zjednoczone, a za nimi po cichu W. Brytania ze swoją flotą podówczas potężniejszą od amerykańskiej. Obecnie wszystkie republiki amerykańskie zobowiązały się do czynnej obrony swego kontynentu. Dotychczas St. Zjednoczone interesowała głównie obrona strefy Kanału Panamskiego, obecnie zajmują się one czynnie losami całego kontynentu.

Układające się strony zgodziły się uważać napaść zbrojną na jedno z państw amerykańskich za napaść wymierzoną we wszystkich. Każde państwo podejmie wówczas kroki, jakie uzna za wskazane, do czasu zwołania wszechamerykańskiej konferencji. Uchwały tej konferencji w sprawie zbiorowego wystąpienia zbrojnego, przyjęte dwiema trzecimi głosów, staną się obowiązujące dla wszystkich, choć żadne państwo nie będzie zmuszone wbrew swej woli do użycia swych sił zbrojnych. Stwierdzono, że napaść na St. Zjedn. poza kontynentem Ameryki np. w Niemczech nie wywoła automatycznie wystąpienia państw amerykańskich, choć sen. Vandenberg polemizując z delegatami Argentyny oświadczył, że St. Zjedn. takiego wystąpienia będą oczekiwały.

Wszystkie te zastrzeżenia — uczynione głównie dla usunięcia obaw o poszanowanie suwerennych praw poszczególnych republik — nie osłabiają olbrzymiego znaczenie nowego traktatu. Dalszym etapem w dziele zespolenia państw amerykańskich będzie styczniowa konferencja w Bogocie, na której powstanie wspólny sztab sił zbrojnych państw amerykańskich.

By dojść do tego celu St. Zjednoczone musiały przede wszystkim zmienić swój stosunek do Argentyny i do rządów prez. Perona. Zmiany tej dokonał gen. Marshall, a krok jego wsparty był przez jednego z przywódców Partii Republikańskiej, sen. Vandenberga, który był jednym z delegatów St. Zjednoczonych na konferencję.

Obszar, którym zajmuje się traktat, obejmuje Amerykę Północną i Południową i rozciąga się właściwie od Bieguna Północnego do Południowego wraz z Grenlandią i wyspami Aleuckimi. Postanowienie to stawia w szczególnym położeniu Kanadę, a także Imperium Brytyjskie, albowiem zobowiązania układu dotyczą również wysp Falklandzkich, które stanowią królewską kolonię brytyjską. Rząd kanadyjski nie otrzymał jeszcze — jak doniósł „Times" — zaproszenia o podpisaniu układu, nie ulega wszakże wątpliwości, że St. Zjedn. jak i inne republiki amerykańskie życzyłyby sobie przystąpienia Kanady do paktu.

Znaczenie strategiczne Kanady było wielokrotnie podkreślane. Związana ze St. Zjednoczonymi i W. Brytanią porozumieniem w sprawie wytwarzania energii atomowej, Kanada od dawna pełni już rolę łącznika między obu systemami anglosaskimi. Czy obecnie zwiąże się silniej z Unią Panamerykańską? Czy też jeszcze będzie się starała zajmować stanowisko pośrednie i niezależne w stosunku do układów w Petropolis? Zagadnienie to niezmiernie doniosłe wywołuje w Kanadzie różne reakcje. Kanada nie chce opuścić Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, z drugiej strony rozwój położenia międzynarodowego zmusza ją do coraz ściślejszej współpracy ze St. Zjed., W razie zatargu amer.-sow., Kanada byłaby zapewne od pierwszej chwili wciągnięta do wojny.

Układ w Petropolis ma wyraźne ostrza antysowieckie i antykomunistyczne. Rzecz prosta tylko z tej strony może Ameryka oczekiwać napaści. Rząd zaś St. Zjednoczonych napewno dobrze zdaje sobie sprawę co oznaczałaby w razie wojny dywersja komunistyczna w Ameryce Południowej. Przed tym niebezpieczeństwem chce się też uchronić. Prez. Truman, który osobiście zjawił się w Brazylii dla uświetnienia swą obecnością uroczystego podpisania traktatu, nie ukrywał, jakim celom ma służyć pakt. W orędziu wystosowanym do członków konferencji wskazał na rozczarowanie, jakie obecnie St. Zjedn. przeżywają. Nie ma bowiem „wolnego świata" o który walczono. „Widzimy ciągle, jak wiele narodów poddanych jest obcemu panowaniu, z czym walczyliśmy i co chcieliśmy obalić. Wiele z pozostałych narodów Europy i Azji żyje pod groźbą zbrojnej napaści". Wobec braku prawdziwego pokoju, prezydent liczy się z dłuższą jeszcze okupacją wojskową poszczególnych terenów i wskazuje na konieczność utrzymania siły.

Charakterystyczne były dwa jeszcze punkty w brazylijskich wystąpieniach prez. Trumana.

1. Silne podkreślenie zaznaczenia planu Marshalla w sprawie pomocy dla Europy i stwierdzenie, że ta pomoc musi mieć pierwszeństwo przed pomocą dla państw amerykańskich.

2. Wyrażenie wiary w ONZ., ale i stwierdzenie, że organizacja ta powołana jest do „utrzymania pokoju, ale nie do stwarzania pokoju". Wynikałoby z tego, że sprawa opracowania traktatów pokojowych z Niemcami, Austrią i Japonią nigdy nie będzie poddana ONZ., gdzie obowiązuje veto, i że nie można zbyt wiele oczekiwać od ONZ zanim prawdziwy pokój nie nastąpi. Prezydent dodawał, że: „Nigdy nie zapomnimy o naszych zobowiązaniach wynikających z karty ONZ i nie dopuścimy, by zapomnieli o nich inni".

Zachodnia Półkula — z wyjątkami, o których pisaliśmy — stanowi jednolity blok, przeciwstawiający się wyraźnie napastniczej polityce bloku sowieckiego.

Ostatnie wydarzenia, a więc pogłębienie się rozdźwięku między zachodem a wschodem, zapewniły prez. Trumanowi i gen. Marshallowi pełne poparcie w ich polityce zagranicznej w Kongresie, w prasie i w opinii publicznej, co jest oczywiście ze względu na zbliżające się wybory prezydenckie bardzo ważnym czynnikiem. Po spędzeniu popołudnia w Oświęcimiu łatwiej jest zrozumieć, dlaczego nie są oni zdolni do obiektywności, gdy chodzi o zagadnienia niemieckie".

Znamienny jest również fakt, że tzw. komisja ustalająca fakty, złożona z członków Kongresu St. Zjedn. pod przewodnictwem p. Hertera, postanowiła odwiedzić również Warszawę i Pragę, choć stolice te nie były reprezentowane na konferencji paryskiej w sprawie tzw. planu Marshall'a. Jak podają komunikaty prasowe „wizyta owa ma na celu okazanie dobrej woli i dowiedzenie krajom nie reprezentowanym w Paryżu, że się o nich nie zapomina".

W słusznym i ożywionym niewątpliwie dobrymi intencjami dążeniu do ostrzeżenia opinii społeczeństwa polskiego w kraju przed niepotrzebnym podnieceniem i nieprzemyślanymi wystąpieniami — niektóre pisma polskie za granicą wypowiadają jednak mylne — zdaniem naszym — poglądy co do obecnej polityki amerykańskiej — twierdząc, że trzyma się ona uparcie „linii Teheranu". Oceny tej nie potwierdzają fakty ani uważna obserwacja zmian, następujących w polityce amerykańskiej i w stosunkach światowych.

Oczywiście, nikt nie mówi o nagłej zmianie, która by za jednym zamachem obaliła „linię Teheranu" i związany z nią układ spraw. Niemniej jednak, w opinii amerykańskiej toruje sobie drogę przeświadczenie, że system, oparty na porozumieniach, zawartych w Teheranie, Jałcie i Poczdamie nie rokuje nadziei trwałości. Postanowienia, powzięte ostatnio w sprawie Niemiec zachodnich, są milczącym przyznaniem się do tego stanu rzeczy. „Dynamizacja" polityki amerykańskiej jest — wedle opinii jej autorów — związana z przekonaniem o całkowitej płynności stosunków i niemożliwości stopniowej ich zmiany. W odniesieniu zaś do bliższych nam spraw, stałe i konsekwentnie wskazywanie Polski i Czechosłowacji jako krajów objętych zainteresowaniami St. Zjednoczonych wiąże się z poczuciem konieczności przebudowy stosunków europejskich. Zachowanie zimnej krwi nie oznacza wcale mistycznej wiary w niezmienność systemu, który coraz widoczniej bankrutuje.

Baptyści u Papieża

(o) Jak już zaznaczaliśmy na innym miejscu, wymiana listów między prezydentem Trumanem i Papieżem Piusem XII, miała znacznie większe echa w prasie światowej niżby to mogło wynikać z milczących ocen prasy brytyjskiej. Podkreślano słusznie, że ogłoszenie tych dokumentów zbiegło się z wielkim wysiłkiem dokonywanym przez dyplomację St. Zjednoczonych na terenie Ameryki Południowej i z podpisaniem przymierza państw amerykańskich. Istotnie prez. Truman w czasie swych wystąpień w Brazylii powoływał się na swe stosunki z Papieżem, co napewno w całej łacińskiej Ameryce, która jest gorąco katolicka, wywarło jak najlepsze wrażenie.

Ale poza tymi względami, powiedzmy praktycznymi, grały tu napewno motywy znacznie głębsze. Wyrazem tych głębszych procesów było przyjęcie przez Papieża czterech pastorów-baptystów z Ameryki, którzy w dokładnie przygotowanym oświadczeniu wyjaśnili cel audiencji. Oświadczenie to zanotował nawet „Times".

Wskazywało ono, że cały chrześcijański świat jest zagrożony przez komunizm. „Naród amerykański, zaznaczało oświadczenie, stanął przed jednym tylko zagadnieniem, Kościół, albo bez Kościoła, państwo, albo bez państwa, Bóg, albo bez Boga. Tworząc mocny front przeciwko Stalinowi, Mołotowowi i członkom „Politbiuro" w Moskwie, ani katolicy ani też niekatolicy nie podważają swych wierzeń, ale jeżeli komunizm zwycięży, nie będzie ani katolików, ani protestantów".

Pastor dr Norris, który prowadził delegację do Papieża, zaznaczył, jak stwierdzał „Times", że „w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wzrosło w St. Zjednoczonych przekonanie, że wojna z Rosją sowiecką jest nieunikniona, i że wszędzie, gdziekolwiek podróżował po Europie, ludzie z którymi rozmawiał, wyrażali to samo przekonanie".

Dr Norris po powrocie do St. Zjednoczonych ma złożyć sprawozdanie prez. Trumanowi.

Przemówienia i... przemilczenia

(P) Na kongresie brytyjskich związków Zawodowych (TUC) w Southport wygłoszono dwa znamienne przemówienia; w których padły gorzkie słowa pod adresem dwóch potężnych sprzymierzeńców z b. Wielkiej Trójki. Przemówienie „antyamerykańskie„ wygłosił p. Bevin; przemówienie „antysowieckie" przedstawiciel amerykańskiej Federacji Pracy (AFL).

Mowa gościa amerykańskiego p. Richardsona wywołała ze strony części delegatów ostre protesty, które w imię wolności słowa uciszył przewodniczący p. Thomson, oświadczając jednak w imieniu Rady Zw. Zaw., że nie podziela wcale poglądów p. Richardsona. Ten zaś powiedział bez ogródek, że Światowa Federacja Zw. Zawodowych jest używana przez Sowiety dla własnych, napastniczych celów, a „obecne różnice między rządami Rosji i St. Zjednoczonymi są całkowicie następstwem łamania przez Kreml wszelkich zawartych przezeń umów, mających na celu gwarantowanie niepodległości i praw demokratycznych jego słabych i biednych narodów."

P. Bevin bronił się przed stawianymi mu ze strony niektórych kół (głównie komunistów) zarzutami uległości wobec Ameryki. „Mój Boże" — wołał — „dziś właśnie zwracam się do was, abyście w fabrykach walczyli o naszą niezależność". Więcej: stwierdzając, że oświadczenie, które za chwilę złoży, sprawi Amerykanom przykrość, zaproponował St. Zjednoczonym ponowne rozdanie zapasu złota, przechowywanego w Fort Knox. Rzucił projekt utworzenia unii celnej Wspólnoty Brytyjskiej, który to projekt winien być rozpatrywany łącznie z projektowaną unią celną Europy zachodniej i projektami rozbudowy kolonii. Swój stosunek do sprawy unii celnej europejskiej określił tak: „...wiele mówiono o unii celnej między 16 krajami. Ale nawet, jeżeli one postawią Europę na nogi, to z brytyjskiego punktu widzenia przedstawia to tylko 25 proc. naszego handlu. Trudno jest więc tego uważać unię celną w Europie za panaceum na nasze trudności".

Te punkty przemówienia p. Bevina spotkały się w prasie brytyjskiej z różnymi ocenami. Od entuzjazmu (zwłaszcza ze strony konserwatywnej prasy Lorda Beaverbrooka), aż do ostrego krytycyzmu. Niektórzy wykazują, że unia celna Wspólnoty Brytyjskiej i unia celna europejska z W Brytanią — to rzeczy zupełnie sprzeczne. Inni dowodzą, że dominia na żadną unię celną się nie zgodzą. „The Manchester Guardian" po prostu twierdzi, że w obu tych myślach nie należy niczego istotnego się doszukiwać, a wątpiąc w finansowe zdolności ministra spraw zagranicznych, radzi pozostawić te sprawy ministrom handlu i skarbu. Ze strony amerykańskiej odpowiedziano dość ostro. Miarą wrażenia, jakie wywołało w Stanach przemówienie p. Bevina mogą być uwagi „New York Times'a", który w żądaniach, dotyczących amerykańskiego złota widzi „albo pretensje polityczne albo ignorancję gospodarczą" i pisze: „Należy zapomnieć o złocie zakopanym w Fort Knox i zająć się węglem, który ma znacznie większą wartość dla odbudowy Europy".

Interesujące są wątpliwości zawarte w artykule pana Alastain Forbes'a w londyńskim „Sunday Dispatch'u". Pisze on m. in.: „Może być, że ważne racje państwowe sprawiły, że nie mówił on (p. Bevin) o „białej wojnie", prowadzonej obecnie przez czerwony totalizm w Europie przeciwko socjaldemokracji, której do niedawna bronili trade-unioniści.

„Mogły istnieć pewne powody, dla których Kongres, który zachował się z dużą nietolerancją i brakiem kurtuazji wobec bratniego delegata amerykańskiego, zakrzykiwał wszelkie stanowcze i prawdziwe oświadczenia, odnoszące się do położenia międzynarodowego.

„Jeżeli są takie powody, to nie są one wcale uspokajające. Nie tylko w Southport, ale i też obok, w kopalniach węgla w Yorkshire. (Odnosi się to do długotrwałego strajku w tych kopalniach. Przyp. Red. O.B.).

„Były w ciągu całego zjazdu oznaki rosnącego wpływu partii, do której należy nowy wybitny przywódca związku p. Horner..." (komunista sekretarz gen. Zw. Górników. Przyp. Red. O.B.).

W chwili przeprowadzania ostrej batalii przeciwko „dolarowi" sympatie przechylają się wyraźnie ku wschodowi. Lord Mayor Londynu dostał od „Daily Herald'a" ostrą naganę za nieprzyjęcie spóźnionego zaproszenia na uroczystości 800-lecia Moskwy. W depeszy zaś, wysłanej z okazji tych uroczystości przez p. Bevina, znalazły się m.in. następujące słowa: „Moskwa, poprzez długie wieki, odegrała chwalebną rolę w obronie Europy przeciw agresji i tyranii". Ten pogląd na historyczną rolę Moskwy wprawi zapewne w osłupienie historyków Nie mówiąc już o ofiarach owej chwalebnej działalności. Na szczęście, umarli nie mówią.

O potrzebie wyjaśnień

(P) Należy stwierdzić, zarówno w prasie amerykańskiej jak i brytyjskiej, nowy zwrot zainteresowania sprawami polskimi, a zwłaszcza sprawą nowych polskich obszarów zachodnich. Coraz więcej pisze się o potrzebie wyjaśnienia stanowiska Waszyngtonu i Londynu do spraw granicznych, o panujących w Polsce i przez propagandę reżimową wykorzystywanych obawach w tej dziedzinie i o wysiłkach, dokonanych przez społeczeństwo polskie w prowincjach nadodrzańskich. Warto wspomnieć o wniosku, jaki wysnuł p. Russell Hill w „New York Herald Tribune" z podróży po tych okolicach. Pisze on m.in., że Polacy potrafili zrobić należyty użytek z pomocy UNRRA i „nie ulega wątpliwości, że dalsza pomoc z zewnątrz opłaciłaby się w końcowym wyniku nawet w formie wywozu z Polski produktów żywnościowych". Czytelnikowi amerykańskiemu zwraca uwagę na istniejące możliwości gospodarcze w Polsce, która jest krajem z przyszłością. W tymże dzienniku donosi p. William Attwood z Oświęcimia, że wielu Polaków stawiało mu następujące pytanie: „Czyż nie jest prawdą, że Amerykanie i Brytyjczycy wciąż chcą pomagać w odbudowie Niemiec?" — Tylko bezpośrednia odpowiedź na to pytanie — stwierdza p. Attwood — zadowoli dziś Polaków, a po

Prez. Truman w rozmowie z prez. Brazylii Dutra w czasie konferencji w Rio de Janeiro

Po wyborach węgierskich

(t) Wynik wyborów na Węgrzech dał blokowi rządowemu kierowanemu przez komunistów 65,9% większości. W bloku tym komuniści mają 100 posłów, drobni posiadacze 68 posłów, socjaliści 67 posłów, a rządowi ludowcy 36 posłów. Opozycja ma 34,1%, w tym społeczni demokraci (katolicy) 60 posłów, partia węgierskiej niezawisłości, kierowana przez Zoltana Pfeiffera, 49 posłów, radykalni 6 posłów, chrześcijańskie kobiety 4 posłanki i demokraci 3 posłów.

Charakterystyczne dla wyniku wyborów jest z jednej strony wysunięcie się komunistów jako partii najsilniejszej i jednocześnie osłabienie stronnictwa drobnych posiadaczy, którzy dotychczas byli partią najsilniejszą, i którzy zostali, jak wiadomo, przedtem rozkruszeni, a z drugiej strony ogromny wzrost demokratów społecznych (katolików), którzy wysunęli się tym samym na czoło opozycji antykomunistycznej. Wzrost ten należy zestawić z zaznaczającym się od dawna w całej Europie rozwojem chrześcijańskich ruchów społecznych, dokonujących się na ogół dużymi i niespodziewanymi skokami.

Jakie znaczenie mają wyniki tych wyborów? Otóż przede wszystkim oddają władzę w ręce komunistów. Są oni najsilniejszym stronnictwem i słynny już dzisiaj ich przywódca Rakosy wymieniany jest jako premier. Że to nastąpi, o tym zresztą nikt nie wątpił. Polityka komunistyczna od długiego już czasu przygotowywała ten rozwój wszystkimi środkami, nie wyłączając terroru, skierowanego zwłaszcza przeciwko stronnictwu drobnych posiadaczy, rozłamując je i niszcząc wszelki w nim opór przez usuwanie i aresztowanie ludzi niewygodnych. To co dzisiaj pozostało z tego stronnictwa, pozbawione jest już zupełnie kośćca. Jest ono bezwolne i posłuszne.

Dla ludzi, którzy przyglądali się bez względnej taktyce komunistów we wszystkich krajach za żelazną kurtyną, jest może niespodzianką fakt, że bądź co bądź pozwolono na istnienie pewnej opozycji i że komuniści ograniczyli się tylko do 100 mandatów, a nawet, że w dniu wyborów oszustwa, aczkolwiek dokonane na wielką skalę, popełniano głównie tylko przez zorganizowane podwójne i potrójne głosowanie odkomenderowanych przez komunistów ludzi, posiadających tzw. „niebieskie bilety" to znaczy uprawnionych do głosowania w innej gminie, niż gmina ich zamieszkania. W ten sposób ujeżdżały po kraju całe ciężarówki pełne ludzi, głosujących po niewiem ile razy w rozmaitych miejscowościach. Gdyby nie to, komuniści posiadający na Węgrzech, jak zresztą i gdzie indziej za żelazną kurtyną, małą bardzo ilość prawdziwych zwolenników, nie byliby uzyskali nawet tej ilości mandatów, jaką mają obecnie.

Okazało się jednak, że są oni zbyt zgrabni na to, ażeby urządzić wybory tak jak w Rosji, na 100%. Byłaby to robota szyta już tak grubymi nićmi, że w obecnym stanie rozdrażnienia, które na całym świecie wywołała ich polityka gwałtów, mogłaby ona wydać dla nich wyniki mimo wszystko niepożądane. Chodziło im więc jednak o znalezienie drogi takiej, ażeby władzę co prawda wziąć, ale jednak zrobić to w taki sposób, który by niezbyt gwałtownie wstrząsnął opinią międzynarodową. Zatrzymali się więc na takim stopniu, który daje im wprawdzie pełną władzę, ale zostawia jeszcze pewne pozory. Nie oznacza to zgoła, że wyrzekają się oni w chwili sposobnej postawienia kropki nad i, tzn. zupełnego usunięcia opozycji z widowni i zaprowadzenia totalizmu całkowitego.

Mogli tak postąpić tym spokojniej, ponieważ obejmując urząd premiera i oczywiście wszystkie kluczowe stanowiska w przyszłym rządzie, będą mieli kraj tak samo w ręku, jak mają dzisiaj np. Polskę. W stosunku do okresu, który bądź co bądź trwał jeszcze za premiera Nagyego, wynik wyborów stanowi w ich zamierzeniach ogromny krok naprzód. Możemy po tych wyborach zaliczyć już dzisiaj Węgry do krajów zupełnie powolnych i całkowicie wtłoczonych w szeregi frontu komunistycznego. I to jest rzeczą istotną. Klucze są już wszystkie w ręku komunistów — i tak samo więzienia. Czy i kiedy przekręcą klucze w drzwiach więziennych za skrępowanymi już najzupełniej i obezwładnionymi przeciwnikami, usuwając ich już całkowicie z widowni, to jest rzeczą w istocie mniej ważną.

Być może, że zaznaczające się ostatnio wrzenie wśród socjalistów z powodu dokonanych przez komunistów fałszerstw, podobne buntowniczym drgnieniom świeżo skrępowanego ostatecznie organizmu, rozwój ten przyspieszy. Same jednak ich protesty w każdym razie stanu rzeczy nie zmienią.

Socjalistyczna „Tribune" przeciw Bevinowi

(r) Trudno nie zwrócić uwagi na artykuł, który ukazał się pod nagłówkiem „Waterloo Bevina", na łamach socjalistycznego tygodnika londyńskiego „Tribune". Oto kilka cytat z tego artykułu:

„Min. spraw zagranicznych p. Ernest Bevin osiągnął w ciągu ostatnich dwóch lat to, czego nie mogli uzyskać Bonaparte, Car, Kaiser i Führer w okresie stuletnich zabiegów: doprowadził on w końcu do wyjścia Brytyjczyków ze Środkowego Wschodu. Sprawozdanie komisji ONZ na temat Palestyny, wydane przed tygodniem, zaleca całkowite wycofanie Brytyjczyków z Palestyny do września 1949 r. Niemal jednocześnie rozprawa na temat skargi egipskiej w Radzie Bezpieczeństwa przybrała nowy i nieoczekiwany obrót. Stało się jasne, że jakiekolwiek postanowienie zapadnie w sprawie Sudanu W. Brytania nie będzie mogła utrzymać swych wojsk w Egipcie poza wrzesień 1949 r.

„Innymi słowy w ciągu dwóch lat, o ile nie wcześniej, brytyjska wojskowa okupacja, oraz bezpośrednie wpływy brytyjskie na Środkowym Wschodzie, będą się równały zeru. W zamian W. Brytania nie będzie miała dłużej trosk, związanych z tymi zobowiązaniami. Oto jaka jest rozpowszechniona reakcja wśród polityków i w prasie. Mówi się więc z ulgą, że W. Brytania będzie uwolniona od zamieszek palestyńskich i od skarg egipskich. Nie będzie ona potrzebowała dłużej utrzymywać trudnego pokoju między Żydami i Arabami. W tym kierunku idą komentarze. Ale czego się nie widzi to tego, że jest to koniec historii o olbrzymich możliwościach, że jest to w tej chwili klęska dla W. Brytanii. Ale p. Bevin tak dobrze grał swymi mocnymi atutami, że dziś wydaje się, iż nie ma innego wyjścia, jak niesławne wycofanie i uznanie przegranej.

„W istocie potrzeba było napadu genialności, by swego czasu szukać powodzenia w przeciwstawieniu Żydów w Palestynie i Arabów w Egipcie i pchaniu rządu Labour Party na stanowisko popierania najbardziej konserwatywnych i zacofanych odłamów na Środkowym Wschodzie. Kiedyś p. Bevin z uczuciem i z dużą wyobraźnią mówił o swym zamiarze podniesienia stopy życiowej na Środkowym Wschodzie, ale nie zrobił niczego, by do tego doprowadzić".

Jest niewątpliwie znamienne, że to wystąpienie przeciwko p. Bevinowi wyszło nie ze strony konserwatystów, ale ukazało się na łamach pisma socjalistycznego, posiadającego swych przyjaciół w rządzie brytyjskim. Zdaje się, że to ministrowie Bevan i Sir Stafford Cripps należeli do grona założycieli „Tribune".

Pozostaje wszakże pytanie, czy p. Bevin mógł zaradzić procesowi, który ma głębsze podłoże i jest częściowo wyrazem źle rozegranej pod względem politycznym wojny. Środkowy Wschód należy dziś do obszarów najbardziej zagrożonych na kuli ziemskiej wskutek wpuszczenia Rosji na Bałkany. Za ten błąd trzeba dziś płacić. W. Brytania już dawno doszła do wniosku, że własnymi siłami nie utrzyma Środkowego Wschodu w niezależności od Rosji. Musiała tym obszarem zainteresować St. Zjednoczone. Inna rzecz, że St. Zjednoczone zaczynają okazywać to zainteresowanie w sposób stuprocentowy. I tak np. Egipt, który z taką energią pozbywa się wojsk brytyjskich ze swego terenu zaprasza jednocześnie rząd St. Zjednoczonych do przysłania amerykańskiej misji wojskowej do Kairu, chcąc jej powierzyć kontrolę nad wyszkoleniem armii egipskiej.

SPRAWY POLSKIE

Początek otwartej walki z Kościołem w Polsce?

(r) W czasie procesu krakowskiego wypłynęło oczywiście nazwisko Andersa. Tym razem w związku z kampanią wymierzoną w duchowieństwo katolickie, któremu prokurator chciałby bardzo przypisać uprawianie po prostu „szpiegostwa". Punktem wyjścia dla całej nowej ofensywy stały się zeznania oskarżonego Ralskiego, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego. Według uzależnionego **„Robotnika"** warszawskiego z 20 sierpnia zeznania te miały następujący przebieg:

„Ralski miał znajomego księdza — Andrzeja Mistata. Ksiądz Mistat pracował w Kurii Metropolitalnej. Osk. poszedł do niego i zaproponował mu dostarczenie materiału z podziemia. Ksiądz Mistat zgodził się na to. Ralski dostał od brata — prof. Ralskiego materiały i dostarczył je wraz z fotografiami tych samych materiałów księdzu. Ks. Mistat w tym czasie wybierał się w towarzystwie wysoko postawionej osoby z duchowieństwa do Rzymu i obiecał te materiały tam zawieźć.

Prok.: Komu miał zawieźć ks. Mistat te materiały?

Osk.: Do Rzymu.

Prok.: Ale komu?

Osk.: Wysokie sfery interesowały się nimi.

Prok.: Jakie wysokie sfery?

Osk.: No... kościelne.

Prok.: A skąd osk. wiedział o tym zainteresowaniu?

Oskarżony milczy.

Prok.: A może dla kogo innego były przeznaczone te materiały?

Osk.: (z wahaniem) Tak.

Prok.: A więc dla kogo?

Osk.: Dla Andersa.

Prok: A co się z nimi stało? Czy mówił ksiądz Mistat po powrocie z Rzymu oskarżonemu o tym?

Osk.: Tak, zostały osobiście doręczone.

Prok.: Komu?

Osk.: (b. cicho) Andersowi.

W dalszym ciągu następuje dialog między prok. a oskarżonym na temat ks. Mistata.

Prok.: Czy ks. Mistat był sympatykiem Andersa?

Osk.: (Po chwili milczenia). Nie wyrażał się niepochlebnie o Andersie.

Prok.: Czy znaczy to, że wyrażał się o nim pochlebnie?

Osk.: (znów b. cicho) Tak".

No, oczywiście kto wyraża się pochlebnie o Andersie, ten musi być napewno „szpiegiem" czy „obcym agentem". Nic dziwnego też, że opierając się na tym „dowodzie„ prasa komunistyczna w kraju zabrała się natychmiast do roboty. Peperowski **„Głos Ludu"** z dn. 20 sierpnia uderzył w ton grozy i oburzenia.

„Zeznania Stefana Ralskiego rzuciły światło na specyficzną taktykę zamazywania śladów, stosowaną przez niektórych oskarżonych. Ralski uporczywie twierdził, że materiały szpiegowskie wysłane do Rzymu przeznaczone były dla „wysokich sfer kościelnych". Mówiąc po prostu dla Watykanu.

Co Watykanowi z dyslokacji W.P. na Dolnym Śląsku, lub z wykazu pracowników w Jarosławiu?

Prokurator ma wątpliwości i uporczywie nadal indaguje oskarżonego, aż prawda wychodzi na wierzch: materiały zostały doręczone w Rzymie nie jakimś tajemniczym „sferom kościelnym", tylko po prostu generałowi Andersowi.

Reakcji wygodnie jest maskować swą robotę powoływaniem się na Kościół. Prokurator unieszkodliwił ten chwyt.

Ale niemniej pozostanie faktem stwierdzonym niewątpliwie, że materiały szpiegowskie do Rzymu przywiózł ks. Mistat, pracownik ponoć nie małoważny kurii metropolitalnej w Krakowie.

Jest to sprawa poważna".

Słowo „poważna", „Głos Ludu" szczególnie podkreśla, bo to jest mu widocznie potrzebne w akcji szerzej pomyślanej. Już bowiem dnia poprzedniego pismo to groźnie pomrukiwało:

„Na koniec jedna sprawa szczególnie przykra. Ta sprawa szczególnie przykra — to udział jednostek spośród kleru w robocie podziemnej — nawet wywiadowczej WiN.

„Dopiero kilka tygodni temu mieliśmy proces warszawski Augustyńskiego, gdzie — jako główny pośrednik w wywiadowczej robocie — występował ks. Pawlina. Tutaj — w procesie krakowskim — staje przed nami szereg osób duchownych.

„Materiały szpiegowskie do Andersa ma wieźć ktoś, udający się do Rzymu w świcie wysokiego dostojnika Kościoła. Klasztor Norbertanek Krakowskich służy za „melinę" szpiegowskiej narady WiN. Ojciec Beniamin z krakowskiego klasztoru Bernardynów oddaje swój klasztor do dyspozycji wywiadu WiN jako „skrzynka pocztowa" i jako schronisko dla NSZ-owskich bandytów.

Cytujemy tylko fakty stwierdzone. Fakty wysoce niepokojące.

„Nie ma i nie będzie w Polsce walki między Kościołem a Państwem. Nie ma i nie będzie w Polsce walki z religią, ale nie do utrzymania jest taki stan rzeczy, przy którym miejsce poświęcone prawom wiary nadużywane jest dla udzielania schronienia mordercom i szpiegom.

„Wiemy, że olbrzymia większość naszego duchowieństwa nie ma z tym nic wspólnego. Wierzymy, że władze kościelne znajdą środki, by na przyszłość zapobiec nadużywaniu religii i miejsc jej poświęconych przez niewielką mniejszość kleru, ulegającą wpływom podziemia".

No tak, system komunistyczny nie odważy się jeszcze na walkę bezpośrednią z religią, ale coraz wyraźniej zdradza ochotę do rozprawienia się z „organizacją kościelną", którą zaczyna już utożsamiać z siecią „szpiegowską". A wszystko dlatego, że ks. Mistat widział się rzekomo we Włoszech z gen. Andersem...

Sejm Związku Narodowego Polskiego

Związek Narodowy Polski założony w r. 1880 jest największą w St. Zjednoczonych organizacją wzajemnej pomocy (ubezpieczeń wzajemnych) Polaków amerykańskich. Z.N.P. liczy przeszło 175.000 członków; zasoby Z.N.P. wynoszą około 30 milionów dolarów. Siedziba Z.N.P. jest w Chicago.

Najwyższą władzą Z.N.P. jest Sejm, który zbiera się raz na 4 lata. Władzę wykonawczą sprawuje zarząd centralny pod przewodnictwem Cenzora i Prezesa wybieranych przez Sejm. Cenzorem Z.N.P. przez 13 lat był adwokat prof. Franciszek Świetlik, prezesem adwokat Karol Rozmarek (zajmujący również stanowisko Prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej).

W dniach od 26 — 29 sierpnia br. obradował w Cleveland Kolejny Sejm Z.N.P., na którym dokonano wyborów władz na czteroletnią kadencję. Cenzorem został wybrany sędzia Bolesław Guenther, Prezesem (ponownie) Karol Rozmarek.

Sejm Z.N.P. uchwalił jednogłośnie rezolucję, która podkreśla:

1) Dalszą obronę swobód obywatelskich, ustroju i całego trybu życia Ameryki, wypływających z Konstytucji i Bill of Rights;

2) Potępia z największym oburzeniem działalność piątej kolumny komunistycznej;

3) Potępia politykę zaborczą Sowietów;

4) Podkreśla konieczność wzmożenia obrony narodowej St. Zjedn. i wprowadzenie w tym celu przymusowej służby wojskowej;

5) Popiera plan Marshall'a i polityki zagranicznej St. Zjedn. z zaostrzeniem jej kursu w stosunku do zaborczości sowieckiej;

6) Żąda sprowadzenia do St. Zjednoczonych 100.000 wysiedleńców i uchodźców polskich;

7) Wyraża głębokie współczucie narodowi polskiemu za wielkie jego męki i doznane krzywdy;

8) Żąda podtrzymania dotychczasowego zjednoczonego frontu Polonii Amerykańskiej w nieuznawaniu reżimu warszawskiego, w zwalczaniu jego wykrętnej propagandy i wywrotnej działalności na ziemi amerykańskiej i wzywa Polonię w St. Zjednoczonych, by nadal stroniła od wysłanników komunistycznego rządu w Warszawie;

9) Wyraża hołd walecznym żołnierzom armii polskiej na wygnaniu;

10) Wyraża serdeczną łączność z bohaterami, którzy wypowiedzieli walkę na śmierć i życie ciemiężcom rosyjskim i grabieżcom wolności Polski;

11) Wyraża uznanie rządowi polskiemu w Londynie z Prezydentem A. Zaleskim i premierem T. B. Komorowskim na czele;

12) Potępia wszystkich którzy czy to w Polsce czy poza jej granicami i tu, w St. Zjednoczonych, niepomni na godność narodu polskiego, poniżają się wobec ciemiężcy rosyjskiego, idą z nim na ugodę i współpracują;

13) Stwierdza, że Związek Narodowy Polski zrodził się z bólu i prześladowań stęsknionego za wolnością ludu polskiego, broczącego obficie krwią po powstaniach listopadowym i styczniowym i że w myśl testamentu powstańców, ślubuje dalszą walkę o wolność i niepodległość Polski, i w myśl tego uchwala, aby Zw. Nar. Polski był nadal członkiem Kongresu Polonii Amerykańskiej;

14) Udziela poparcia dla akcji Rady Polonii Amerykańskiej w niesieniu pomocy narodowi polskiemu w żywności, odzieży, lekarstwach itp.;

15) Żąda szerzenia nauki języka polskiego i wiedzy o kulturze polskiej jak i tradycyj narodowych. (Pat).

T. E. Dewey przeciw reżimowi w Polsce

(o) Jeden z kandydatów partii republikańskiej na stanowisko prezydenta St. Zjednoczonych Thomas E. Dewey, gubernator Stanu New York, przyjmując patronat nad rozpoczętą w Stanach Zjednoczonych kampanią na rzecz pomocy Polakom, przesłał następujący list na ręce płk. Henry T. Blaira, przewodniczącego Amerykańskiego Towarzystwa Pomocy Polakom:

„Drogi Panie Pułkowniku,

„Jako gubernator Stanu New York przyjmuję z wielkim zadowoleniem Pana uprzejme zaproszenie do objęcia patronatu nad kampanią Stowarzyszenia Amerykańskiej Pomocy Polakom, która rozpocznie się we wrześniu b.r.

„Wszyscy ludzie dobrej woli, zarówno mężczyźni jak i kobiety, a zwłaszcza 800.000 obywateli Stanu New York, polskiego pochodzenia, świadomi są w pełni potrzeb dzisiejszych cierpiącego narodu polskiego. Jestem przekonany, że przyczynią się oni pięknie do powodzenia tej kampanii, będącej bardzo na czasie, która ma na celu przyjście z pomocą narodowi polskiemu, a nie jego rządowym ciemiężcom.

„Od czasu rewolucji amerykańskiej my tutaj w Ameryce zaciągnęliśmy dług wdzięczności wobec Polaków i Polek, którzy przybyli do naszego kraju i stali się lojalnymi i oddanymi obywatelami naszej wolnej republiki. Podczas ostatniej wojny Amerykanie polskiego pochodzenia walczyli na frontach bitewnych całego świata wybitnie się odznaczając. Wielu z nich oddało swe życie za to, abyśmy mogli nadal pozostać wolnymi.

„Dziś kraj ojczysty Polaków znów znajduje się w niewoli pod zaborem okrutnego mocarstwa o ustroju dyktatorskim. W czasie nadchodzącej kampanii Stowarzyszenia Amerykańskiej Pomocy Polakom wszyscy nie tylko przyjdziemy z tak bardzo potrzebną pomocą nieszczęśliwemu narodowi polskiemu, ale wykażemy również całemu światu, że naród amerykański nie zapomni o tych ludziach, którzy znajdują się dzisiaj znowu pod wpływami totalistycznego mocarstwa, dążącego do unicestwienia godności jednostki oraz tak drogich nam wszystkim ideałów.

Szczerze oddany

(—) Thomas E. Dewey.

Ogłaszając pełny tekst tego listu, specjalny korespondent **„The New York Times"** poprzedza go dłuższym komentarzem, w którym zaznacza, że Dewey czyni tu wyraźne aluzje do obecnego panowania Rosjan w Polsce. Korespondent stwierdza przy tym, że jest to najświeższe z szeregu wystąpień, jakie Dewey miał w ostatnich czasach przeciwko reżimowi stalinowskiemu.

Następne oświadczenie Dewey'a utrzymane w podobnym tonie złożone zostało podczas zjazdu Legionu Amerykańskiego, wielkiej organizacji kombatantów w St. Zjednoczonych.

Na froncie walki sportowej

Zbyt ważne rzeczy działy się na świecie, w ciągu ostatnich lat, by starsze, poważniejsze społeczeństwo mogło pamiętać o sporcie. Prawa życia są jednak niezmienne: po katakliźmie, nawet najgwałtowniejszym, życie powoli powraca do normy.

Obecnie, uspokojenie przychodzi z wyjątkowym trudem. Mimo to skierujmy na chwil kilka, spojrzenie w stronę dziedziny życia społecznego, odgrywającej, bądź co bądź, w kształtowaniu rosnącej ludzkości rolę, której nie wolno nie doceniać.

Będzie to szczególnie na czasie, jako że rok zaledwie dzieli nas od Igrzysk Olimpijskich, nowego szczytowego przejawu kultury fizycznej.

Ostatnia wojna wywołała w świecie idej politycznych, poglądów społecznych, teorii ekonomicznych zmiany wprost olbrzymie. Czy zjawisko podobne da się zauważyć również i w ideologii sportowej? Nie! Teoretycy, kierownicy życia sportowego stoją dziś w obliczu tych samych zagadnień, tych samych rozbieżności, jakie zaprzątały ich umysł w roku 1939. A więc zagadnienie amatorstwa i zawodowości, rozwoju wszerz — w kierunku masowości, i rozwoju wwyż — w kierunku hodowania rekordzistów, a więc sprawa pomocy, udzielanej przez państwo.

Jeśli chodzi o punkt pierwszy, ideowi przewodnicy sportu w dalszym ciągu walczą z rozszerzeniem się zawodowości — uważanej za zło konieczne, spowodowane istniejącym ustrojem gospodarczym i społecznym — przez podporządkowanie zawodowców kontroli związków amatorskich i ograniczenie dostępu do ich szeregów przez ścisły dobór. Następnie, w dalszym ciągu uważają za cel — wciągnięcie do życia sportowego najszerszych mas, lecz zdają sobie sprawę, iż najkrótsza i najpewniejsza droga prowadzi przez aureolę i rozgłos wyczynów wyjątkowych. Że więc rekord wpływa zawsze dodatnio na podniesienie poziomu przeciętnego. W końcu walczą uparcie o wszelkiego rodzaju ułatwienia i udogodnienia ze strony władz państwowych, w słusznym przekonaniu, iż sport przyczynia się do wychowywania dzielnych, wartościowych obywateli.

W dziedzinie ideowej, teoretycznej, wszystko zostało więc po staremu. Spójrzmy teraz, co się zmieniło w praktyce.

Wywody następujące, opieram z konieczności prawie wyłącznie na tym, co zauważam na terenie Francji, gdzie się obecnie znajduję, oraz na informacjach, jakich mi uprzejmie udzielił p. Denis, sekretarz generalny Francuskiego Komitetu Olimpijskiego.

We Francji więc zawierucha wojenna — wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie tylko nie zahamowała życia sportowego, lecz wpłynęła na jego ożywienie. Młodzież, pozbawiona wszelkich niemal rozrywek: dancingów, kin, teatrów skierowała się masowo ku sportowym bolskom, by tam wyładowywać swą energię. Starsi, żądni widowisk, też się w tę samą stronę zwrócili, zapełniając trybuny, co, naturalnie, na młodzież wpłynęło zachęcająco.

Następnie — signum temporis — wyjazdy na zawody sportowe, z większych miast na prowincje, pozwoliły na załatanie luk w zaopatrzeniu żywnościowym. Z meczu piłkarskiego, rozegranego gdzieś w małym miasteczku, mieszkaniec Paryża czy Londynu wracał z walizką, wypełnioną mięsem, masłem, jajami... Dlatego, największe kluby, ze wszystkimi swoimi „gwiazdorami" chętnie przyjmowały zaproszenie do byle Pipidówki. W ten sposób „gwiazdy" nie cierpiały głodu, a sportowcy prowincjonalni korzystali z najlepszych wzorów.

W wyniku rozwój wszerz z jednej strony, rozwój wwyż z drugiej — poczyniły poważne postępy. Gdy w 1939 roku ilość klubów, zrzeszonych w Związku Lekkoatletycznym, wynosiła niecałych 1200, obecnie jest ich 1500. Ilość łączna ich członków przeszła z niecałych 15.000 do ponad 45.000. Również trzykrotny wzrost dał się zauważyć w drugim sporcie „zasadniczym" — pływaniu.

Poziom wyników podniósł się też. Mówią o tym nie tylko wyjątkowe sukcesy, uzyskane ostatnio przez Francję na terenie spotkań międzynarodowych, lecz przede wszystkim wyniki, otrzymywane na mistrzostwach dzielnicowych i na zawodach juniorów.

Francja spodziewa się tedy, nie bez rzeczowych podstaw, iż na Igrzyskach Olimpijskich 1948 roku uzyska, w sportach zasadniczych — lekkiej atletyce i pływaniu, wyniki lepsze, niż w 1932 i 1936.

Przechodzimy do sprawy tych Igrzysk. Odbędą się one, jak wiadomo, w Londynie. Stanowi to rękojmię, iż nosić one będą charakter czysto sportowy, nacechowany duchem olimpijskim, bez tej nieprzyjemnej domieszki pierwiastka propagandy politycznej, jaką wnieśli w 1936 roku Niemcy, a która na przybyłych do Berlina obcokrajowcach wywarła fatalne wrażenie.

Niestety, trzeba być przygotowanym na to, iż świetność zewnętrzna tego szczytowego przejawu sportu międzynarodowego nie będzie odpowiadała pragnieniom entuzjastów. Wpływają na to trudności techniczne, na jakie natknęli się angielscy organizatorzy. A więc z konieczności musieli program ułożyć tak, iż zawody lekkoatletyczne odbywać się będą równocześnie z pływackimi, wbrew ustalonej już tradycji. Dalej — trzeba było wyrzec się zamiaru zbudowania „wioski olimpijskiej" dla pomieszczenia zawodników, co również weszło niejako w tradycję, a stwarzało tak miłą, tak koleżeńską atmosferę. W ogóle, organizatorzy angielscy będą mieli nielada kłopoty z pomieszczeniem przybyłych gości: Londyn posiada dziś zaledwie 50% dawnych hoteli, a mnóstwo lokali zatrzymuje do swej dyspozycji wojsko. W końcu Brytyjski Komitet pora się z trudnościami finansowymi.

Należy jednak zrozumieć, że trzeba było wielkiej odwagi — i wyjątkowej dobrej woli — by podjąć się organizacji Igrzysk Olimpijskich tuż po katastrofie dziejowej, jaką właśnie przebyliśmy. Mogli to uczynić tylko tacy prawdziwi sportowcy, jakimi są Anglicy.

Zachodzi teraz pytanie, czy Igrzyska będą licznie obsadzone, czy drużyny swe wyślą taką samą ilość państw, jak było to w zwyczaju przed wojną? Są na niebie znaki, pozwalające przypuszczać, iż Igrzyska będą się cieszyły dużym napływem sportowców z całego świata. Niepewność istnieje jedynie co do pewnej określonej grupy, mianowicie krajów, znajdujących się w tzw. „sowieckiej strefie wpływów".

Rzecz w tym, iż sport sowiecki, jak dotychczas, nie stykał się zupełnie ze sportem olimpijskim. Rosja sowiecka nie należy do „Comité International Olympique", ani też do międzynarodowych związków sportowych. Wiele razy już prowadzono na ten temat rokowania. Wyciągano do Sowietów rękę. Lecz za każdym razem powtarzało się to samo: Sowiety żądały zmiany regulaminów, na co oczywiście się nie godzono, uważając, że gdy ktoś ma wejść do towarzystwa 60 narodów, które już uchwaliło i praktycznie wypróbowało pewne statuty — winien się im podporządkować, a nie wymagać, by wszyscy — dla niego, zmienili stanowisko. Tak więc rokowania rozbijały się, często w ostatniej chwili: Sowiety nagle, gdy wszystko wydawało się już ułożone — odmawiały podpisu!

Kraje „sowieckiej strefy wpływów" wszystkie należą do C.I.O. i już wielokrotnie brały udział w Igrzyskach. Będą niezawodnie chciały i teraz wysłać swe drużyny. Zgłoszą je napewno... ale nikt nie potrafi zaręczyć, czy — znów w ostatniej chwili — na krótki znak z Kremla nie będą musiały się zrzec. Albo, że Sowiety nie zorganizują, w tym samym czasie, jakiegoś przedsięwzięcia współzawodniczącego, dla celów propagandy politycznej.

Streszczając wszystko powiedziane, widzimy, że położenie w sporcie międzynarodowym jest spokojniejsze i normalniejsze, niż... w polityce. Sport rozwija się wszerz i wwyż, żyje swym szerokim życiem, które płynie niejako ponad chaosem i gmatwaniną wydarzeń politycznych.

Oczywiście, wpływają one na bieg wydarzeń sportowych, lecz nie są w stanie zmienić zasadniczego kierunku: Igrzyska Olimpijskie się odbędą, czy z Sowietami, czy też bez Sowietów, tak samo, jak obecnie rozgrywa się mnóstwo zawodów międzynarodowych i międzypaństwowych, mimo wszelkie trudności wizowe, transportowe i dewizowe. Albowiem sportowców cechuje inicjatywa i energia.

Zakończę maleńkim charakterystycznym przykładem. Francuska drużyna szermiercza miała się udać na mistrzostwa świata w Lisbonie. Lecz odmówiono jej — zarówno ze strony władz francuskich, jak i hiszpańskich — zezwolenia na przebycie Pirenejów, na przejazd przez terytorium, podległe generałowi Franco! Cóż? Prezesi i sekretarze oczywiście musieli się podrapać po głowach, ale w dwa dni później drużyna francuska, wesoła i pełna nadziei, wysiadła w Lisbonie z samolotu!

Ideologia sportowa oparta jest na koleżeństwie i przyjaźni. Nie zmieni się — i nie zaprzestanie krzewić swoich ideałów. I nic w tym dziwnego, ani, w gruncie rzeczy, niespodziewanego, że po straszliwej wojnie znajdujemy sport nie osłabiony, nie bezsilny, a wręcz przeciwnie, rozporządzający dziesiątkami i setkami tysięcy nowych zwolenników, zdobytych dla rycerskiego współzawodnictwa, dla walki szlachetnej i bezkrwawej!

WIKTOR JUNOSZA

Przegląd gospodarczy

W KRAJU

Poziom gospodarczy prasy krajowej nie stoi na wyżynie wysiłków pracy społeczeństwa. Wkradają się do niej sowieckie metody ukrywania prawdy. Coraz mniej cyfr absolutnych i pewnych w statystyce, a coraz więcej omawiania wykonania lub niewykonania planu. Czynnik decydujący dla gospodarstwa krajowego, układy, warunki i ceny pomiędzy Polską a Sowietami, są tajemnicą. Wiadomości takie, że Polska „utrzymać ma" do 1 lipca 1948 z Sowietów tyle to a tyle ton bawełny, rudy żelaznej, czy ziarna, nie mogą być przez nas w dobrej wierze powtarzane, gdyż nigdy nie wiemy jakie zajdą przeszkody w dostawie w przyszłości. Chcielibyśmy przytoczyć salda obrotów już pewne, bo dokonane, ale te informacje są niedostępne i trzeba je wyłuskiwać niepewną drogą okrężną.

Mimo tych trudności zdobywamy powoli obraz rzeczywistości gospodarczej w Polsce. Energia społeczeństwa, która tak potężnie przejawiała się zarówno w oporze okupantom w kraju, jak i w organizacji własnych sił zbrojnych za jego granicami, skierowała się obecnie ku odbudowie gospodarstwa zniszczonego kraju. Możemy już dziś śmiało stwierdzić, że w ostatecznym wyniku wysiłek polskiego gospodarstwa jest równy albo wyższy wysiłkowi Belgii, Holandii i Luksemburga bez pomocy ich fantastycznych bogactw kolonialnych i bez współpracy z Zachodem, co zadania te wielce ułatwia.

Na dobro Polaków zapisać musimy, że szereg wielkich osiągnięć dokonany został pomimo równoczesnej eksploatacji przez Sowiety. Ukrywanie warunków wymiany jest dostatecznym dowodem, że wyzysk ten istnieje. Drugim dowodem są nożyce pomiędzy tym co np. polski węglarz otrzymuje — miesięcznie 8,500 zł, czyli niespełna 20 dolarów—a wartością wydobytego węgla 25 × 1,6 × 6 dol. = 240 dolarów. Węglarz angielski produkując o 45 procentów mniej od polskiego, otrzymuje miesięcznie 100 dolarów. Gdyby ktoś twierdził, że Sowiety handlują z nami uczciwie, to musiałby się zgodzić, że rząd wyzyskuje polskiego węglarza tak, jak jeszcze żaden kapitalista robotnika w Europie nie wyzyskiwał.

Jaki jest udział rządzących w dobrym rezultacie końcowym. Przypuszczać należy, że niejednolity. Pomiędzy fanatycznymi komunistami, którzy Polską rządzą, muszą znajdować się tacy, którzy chcą udowodnić ze eksperyment komunistyczny w Rosji zawiódł z powodu małej wydajności rosyjskiego chłopa i robotnika, że natomiast w Polsce się uda, bo wartości ludzkie są odpowiednio wysokie. Ci komuniści mogą szczerze i poprawnie pracować gospodarczo, ale ich liczba i fachowość w ogólnej masie inżynierów, majstrów i robotników jest tak znikoma, że ten przyczynek do ogólnego dobra nie może być wielki.

Natomiast większość grupy rządzącej szerzy kłamstwo, które prace dezorientuje, uprawia nużącą propagandę, która od niej odrywa, procesami i naciskiem policyjnym niszczy energię społeczeństwa, stwarza stan powszechnej niepewności. Jest, słowem, czynnikiem rozkładu, zmierzającym systematycznie do obniżenia naszej wydajności do poziomu sowieckiego.

SYSTEM ODRY

Jeden z ważnych odcinków prac dokonanych i zamierzonych w Polsce opisuje inż. St. Baszyński w **„Dzienniku Zachodnim"** z 24 sierpnia. Chodzi o roboty wodne w basenie Odry, prowadzone przez wrocławską dyrekcję. Na wodach Odry przewożono (r. 1938) okrągło 10 milionów ton ładugi. Dla pokonania tego przewozu kolejami trzebaby użyć przez cały rok 30 pociągów ciężkich towarowych, przy znacznie większych kosztach własnych.

Za czasów niemieckich następował w czasach suszy i niskich stanów wody zastój żeglugi. Jedynym rozwiązaniem tego zagadnienia było zatrzymanie wody tamami w zbiornikach w górnym biegu rzeki. Obliczono, że w roku największych opadów — 1926 — wystarczało użyć 13 milionów metr. kub. zmagazynowanej wody, aby utrzymać żeglugę przez cały rok. W roku natomiast wyjątkowej posuchy — 1921, potrzeba było aż 788 milionów metr. kub. wody. Niemcy ustalili praktyczny plan zatrzymania 355 milionów metrów.

W wykonaniu tego programu powstał zbiornik w Otmuchowie na Nyssie Kładzkiej o pojemności 95 milionów metrów. W roku 1946 Polacy uruchomili ten zbiornik i działa on bez zarzutu.

Drugi zbiornik w Turawie na Małejpanwi obliczony na 90 milionów, nie był przez Niemców ukończony. Polacy doprowadzili go do 50 milionów zapasu, a z przyszłą wiosną ma być ukończony na pełnych 90 milionów.

W Dzierżnie pod Gliwicami uruchomiono basen na 10 milj., a drugi basen na 30 milj. ma zostać ukończony w r. 1949. Po ukończeniu tego zbiornika dysponować będzie można zapasem 225 milj. metrów sześc. wody.

Obecnie przystąpiono do budowy zbiornika w Mianowie na Bystrzycy, o pojemności 65 milionów. Ponieważ Polska nie ma urządzeń na wykonanie żelaznej, szczelnej ściany, Czesi podjęli się dostarczenia tej ściany z polskiej surówki. Budowa potrwa 5 lat.

Pokonanie niskich stanów wody na Odrze w latach przeciętnych opadów wydaje się więc zepewnione. Pełne wyzyskanie Odry wymaga jednak jeszcze łodzi, holowców i trolleybusowych dojazdów od kopalń do przystani a także urządzeń przeładunkowych, a więc poważnych nakładów kapitału.

TRAKTAT POLSKA — FRANCJA

Dwie zasadnicze umowy zostały prowizoryczne podpisane pomiędzy Warszawą a Francją w Paryżu. Pierwsza na dostawę miliona ton węgla rocznie na jeden rok, w obliczeniowej cenie 1,7 miliarda franków. Wzamian ma Francja dostarczyć Polsce na tę kwotę chemikalii, wełny i towarów lekkiego przemysłu. Druga umowa przewiduje stale z roku na rok wzrastające dostawy węgla tak, że w ciągu lat czterech ma Polska dostawić ogółem 6,650.000 ton węgla. Za ekwiwalent 7,2 miliarda franków Polska dostawić ogółem 6,650.000 ton węgla, dy i urządzenia maszynowe, potrzebne do odbudowy.

Wejście w życie obu umów, rocznej i czteroletniej uzależnione zostało od załatwienia przedwojennych zobowiązań państwowych i prywatnych Polski we Francji.

ST. R.

Premier belgijski Spaak przeciw prawu veta

(o) Przy sposobności wydania przez „New York Herald Tribune" odrębnego dodatku poświęconego Belgii, premier i min. spraw zagranicznych Henryk Spaak przesłał pismu amerykańskiemu oświadczenie o obecnym położeniu międzynarodowym Belgii. Położenie to, p. Spaak określił jako niezmiernie jasne. Po dwóch wojnach, które okrutnie dotknęły Belgię, zgłosiła ona swe szczere przystąpienie do Karty ONZ w San Francisco i uczyniła z Organizacji Narodów Zjednoczonych ośrodek swej działalności międzynarodowej.

Niemniej nie można zataić, że doświadczenia poczynione w ciągu ubiegłych 2 lat przyniosły Belgii niejedno rozczarowanie, a nawet i trudności. Byłoby śmiesznym twierdzić, że wszystko idze tak, jak sobie tego można życzyć. Niemniej nie należy się zniechęcać, gdyż albo istnieć będzie świat strzegący zasad tej Karty, albo wyłoni się nicość, lub raczej chaos i nawrót do panowania siły oraz do wojny. Dlatego Belgia czyni wszelkie wysiłki, aby udoskonalić zasady ustalone w San Francisco.

W związku z tym p. Spaak oświadczył, że jego zdaniem ONZ nigdy nie zdoła wykonać swego zadania, jeżeli prawo veta nie zostanie obalone. Organizacja międzynarodowa, zdolna sama zapewnić pokój, nigdy naprawdę nie będzie istniała, dopóki wszystkie narody, małe i duże, nie przyjmą zasady, że pod d ich własną udzielno[illegible] stoi prawo międzynarodowe, któremu muszą się podporządkowywać. Poza tą prawdą nie ma innego rozwiązania dla całego świata. Jest czas, ostatni czas, aby wszyscy to uznali.

Uzasadniona przynależność do Narodów Zjednoczonych dowodzi zrozumienia konieczności współpracy politycznej i gospodarczej między narodami. Starając się urzeczywistnić te zasady we własnym zakresie działania — Belgia zjednoczona gospodarczo począwszy od pierwszej wielkiej wojny z Wielkim Księstwem Luksemburskim zawarła w tym roku związek celny z Holandią i gotowa jest przekształcić go w związek gospodarczy. W ten sposób doszło do powstania „Beneluxu". Te trzy państwa dały światu przykład, jak przy trochę dobrej woli, zrozumieniu pojednawczości można osiągnąć lepszą organizację życia międzynarodowego.

Kraj mój żywi te same ideały — zakończył Spaak, co znakomita większość obywateli Stanów Zjednoczonych. Mamy zaufanie do ustroju demokratycznego. Szanujemy osobistą wolność i człowieka. Mocno pragniemy powszechnego dobrobytu i dążymy do stworzenia zorganizowanego świata, w którym mocniejszy nie mógłby panować i niszczyć słabszego.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania na Dalekim Wschodzie

(s.s.) Przedstawiciele ośmiu narodów, wchodzących w skład Imperium Brytyjskiego, obradowali niedawno w Australii w Canberra, nad ustaleniem zasad, na jakich powinien być oparty traktat pokoju z Japonią. Nowy porządek polityczny na Dalekim Wschodzie — zdaniem ich — tylko wtedy zyska cechy trwałości, jeśli wypełnione zostanie pięć następujących warunków:

1. stałe rozbrojenie Japonii, pozbawionej armii lądowej, marynarki, lotnictwa i wszelkiego przemysłu wojennego;
2. długoterminowa okupacja Wysp Japońskich;
3. zatrzymanie przez St. Zjednoczone Okinawa i mandatów nad dawnymi archipelagami japońskimi na Pacyfiku;
4. odbudowa cywilnego życia w Japonii i utrwalenie w tym kraju instytucji demokratycznych;
5. przyznanie Rosji kontroli nad ważnymi strategicznie wyspami na północy Pacyfiku i nad niektórymi punktami na kontynencie.

Tymi pięcioma zaleceniami kierować się będzie delegacja Imperium Brytyjskiego na dalekowschodniej konferencji pokojowej, która przypuszczalnie rozpocznie swoje obrady z początkiem 1948 r. w jednym z miast amerykańskich.

Arthur Morley, przedstawiciel **„The Sunday Times"** w Canberra, omawiając powyższe wytyczne podkreśla, iż w czasie narad uwydatniała się w sposób wyraźny tendencja **uznająca konieczność utrwalenia przewagi amerykańskiej w północnej części Pacyfiku.** Mówiąc prościej, Anglicy przy układaniu traktatu pokojowego z Japonią domagać się będą utrzymania podziału wpływów na Dalekim Wschodzie, jaki został ustalony w ciągu wojny, względnie tuż po jej zakończeniu.

Niejednokrotnie podawano w prasie wiadomości o zawartym jakoby między Waszyngtonem i Londynem porozumieniu, które uznawało północne Chiny za amerykańską strefę wpływów, natomiast południowa część tego kraju miała pozostać nadal strefą wpływów kapitału angielskiego. Takie rozgraniczenie wpływów amerykańskich i angielskich oparte zostało na geograficznym rozmieszczeniu inwestycji kapitału angielskiego, japońskiego i amerykańskiego. Według E.M. Gull (British Economic Interests in the Far East) ogólna suma inwestycji angielskich głównie w Chinach południowych (nie licząc pożyczek udzielonych rządowi chińskiemu) wynosiła w r. 1931 — 32 mil. Ł. Inwestycje japońskie, głównie w Mandżurii, zamykały się cyfrą 110 mil. Ł., amerykańskie zaś tylko sumą 32 mil. Ł. W wyniku wojny na Dalekim Wschodzie St. Zjednoczone uzyskały kontrolę i nad kapitałami japońskimi w Chinach, a więc głównie na północy. W tej sytuacji Waszyngton podtrzymał anglików w ich dążeniu do odzyskania Hongkongu, który jest główną podstawą działalności kapitału angielskiego na Dalekim Wschodzie.

Anglicy chcieli do tego stopnia ściśle przeprowadzić podział Chin na północną amerykańską strefę wpływów i południową angielską, iż natychmiast po zakończeniu wojny zawarli traktat ze Sjamem i domagali się od rządu sjamskiego oddania im kontroli nad administracją, bankami, handlem i komunikacjami, co praktycznie oznaczało zamknięcie tego kraju dla kapitału amerykańskiego. Anglicy uważali, że całe południe Azji powinno podlegać ich kontroli. Amerykanie nie pogodzili się z tym punktem widzenia i 2 stycznia 1946 r. zawarte zostało angielsko-amerykańskie porozumienie w sprawie Sjamu, dopuszczające do tego kraju i kapitały amerykańskie.

Punkt piąty zaleceń konferencji z Canberra, mówiący o Rosji oraz ton głównych przemówień delegatów poszczególnych dominiów wskazują, iż Anglicy podejmują bardziej zdecydowaną rozgrywkę z Ameryką na Dalekim Wschodzie, pragnąc ratować swoje wielkie kapitały ulokowane na tych obszarach. Londyn pragnie, by istotnie podział na północną strefę wpływów amerykańskich i południową angielskich był ściślej utrzymany. Wzrost napięcia w stosunkach amerykańsko - rosyjskich jest tutaj oczywiście czynnikiem bardzo ważnym i raczej korzystnym dla realizacji planów brytyjskich.

DBAJ O FUTRA!

Vanek najlepiej przerabia, farbuje, czyści i przechowuje wszelkiego rodzaju futra. Robota pierwszorzędna. Ceny umiarkowane.
4 William St. Knightsbridge, S. W. 1.
również w Bournemouth. 024

Kawiarnia — Restauracja
W I L E R B Y
6, Hanover Street (Oxford Circus) W. 1.
zaprasza Polaków na:
obiady, herbatkę taneczną, kolacje z tańcem
(Melodie polskie)
Ceny umiarkowane
Kuchnia kontynentalna 018

OFICJALNE
Polskie Biuro Informacyjne i Porad Prawnych
20, rue Macquart — Lille—Francja
tel. 393.40
ZAŁATWIA
tłumaczenia urzędowe, dokumenty, kontrakty, śluby, naturalizacje, pełnomocnictwa itp. 020a

Poszukuje się wykwalifikowanej
KROJCZYNI — KRAWCOWEJ
do prowadzenia pracowni
Bruksela, Tel. 34-45-70 (8-10 i 13-14) 024a

W związku z transportami dla EMIGRANTÓW POLAKÓW, którzy mają zamiar wyjechać do ARGENTYNY, podajemy do wiadomości, że Kompania Nawigacyjna „DODERO LINIA" ma miejsca na okrętach: „CORDOBA" i „ENTRE RIOS", które RAZ W MIESIĄCU na przemian odejdą z portu SOUTHAMPTON do BUENOS AIRES.
Bliższych informacji udzielają reprezentanci:
STELP & LEIGHTON Ltd., 9—13, Fenchurch Buildings, London E.C. 3.
033

NYLONY 20 sh. para oraz inne paczki do Polski
CYLKOWSKI, 21, Redcliffe Street LONDON S. W. 10
021

TANIO I SZYBKO dostarczam wszelkie odznaczenia wojenne brytyjskie i polskie, baretki pojedyńcze za 3—2/6, platrony baretek po 1 szylingu, z podkładką welwetową po 1/3 od baretki.
Nakładki na baretki od 9d do 1/6 za szt. M. Fox, 31 Buckingham Palace Road, London S. W. 1. 028

KSIĄŻKI SZKOLNE
dla Gimnazjów i Szkół Powszechnych
poleca
Księgarnia „LIBELLA"
12, rue St. Louis en l'Ile — Paris IV
metro: Sully — Morland
Żądajcie bezpłatnych katalogów
0 29a

WARSZAWSKI KRAWIEC
F. PALMAN
przyjmuje nowe zlecenia i wykonuje je w możliwie najkrótszym terminie
Wielki wybór pierwszorzędnych materiałów damskich i męskich.
Ceny umiarkowane.
52, Berwick Street (Oxford Circus) London, W. 1. Tel.: GER 3068.
036

FUTRA
w Polsce bardzo drogie, a zima sroga,
Zaopatrz się, lub Swoich.
Polski kuśnierz LANGER & CO. Ltd., 1, Notting Hill Gate — London W. 11. Tel.: BAY 3773.
Doradzi i sprzeda tanio. Przenoszone FUTRA naprawia, odnawia i przechowuje. 031

KSIĘGARNIE POLSKIE
„ORBIS"
Londyn: 38 Knightsbridge, S.W. 1, tel. SLOane 2791.
Edinburgh: 31a Castle Street tel. 24705
Otwarte codziennie do 6-tej, w soboty do 5-tej
WIELKI WYBÓR
książek i czasopism, podręczników do nauki języków, słowników, podręczników technicznych i zawodowych
DZIAŁ ODZNACZEŃ WOJSKOWYCH
Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast 027

DOKTOR PRAW
TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY
przy Sądzie Najwyższym
Tłumaczenia urzędowe — śluby — naturalizacje — sprawy sądowe — cywilne — handlowe — podatkowe.
Porady bezpłatne.
Dr. Leon Szelągowski
3, rue Debrousse - PARIS (16-e)
Metro: Alma-Marceau 07a

SZYBKA DOSTAWA MATERIAŁÓW WEŁNIANYCH
Jedynym źródłem zakupu dobrych materiałów wełnianych jest Australia. Zwłoka w doręczaniu została już usunięta. Przeszło 6 tysięcy naszych paczek australijskich zostało już doręczonych. Obecnie przyspieszona przesyłka listami poleconymi, ubezpieczonymi. Posiadamy potwierdzenia tych paczek, wysłanych w początku czerwca. Próbki materiałów za zwrotem kosztów 2/—.
PACZKA S/W — 3 1/2 yarda kamgarnu na garnitur męski szerokość 137 cm., w odcieniu granatowym lub brązowym. Cena Ł 6.19.0.
PACZKA P/PI — 3 1/2 yarda materiału Velour na zimowe płaszcze męskie i damskie, szerokość 137 cm., w kolorze brązowym lub granatowym Cena Ł 5. 7.6.
PACZKA H/HP — 3 1/2 yarda materiału na ubrania sportowe i kostiumy, szerokość 137 cm., w kolorze popielatym. Cena Ł 5.4.0.
PACZKA G/G — kupon 3 yardy gwarantowana 100% wełna Merino, szerokość 137 cm., na suknię lub płaszcz damski — w kolorze: zielonym i brązowym lub granatowym. Nadto dwie pary jedwabnych pończoch w najlepszym gatunku (fully fashioned). Cena Ł 4.12.6.
Polecamy także jedwab spadochronowy po najtańszych cenach: w W. Brytanii 19/—, do Polski 20/— za dwa kliny.
POLIMEX CO. LTD., 3, THURLOE PLACE. LONDON, S.W. 7.
(naprzeciw Brompton Oratory — w pobliżu Sztabu P.K.P.R.). Osobiste zamówienia i obejrzenie wzorów od 11-ej do 2-giej. Jako zapłatę przyjmuje się także odprawy demobilizacyjne. 040

Gdzie można nabyć „Orła Białego" w Londynie
Dla wygody naszych Czytelników zorganizowaliśmy następujące punkty sprzedaży „Orła Białego" w Londynie:
Kioski w kolejkach podziemnych na stacjach: Earls Court, Gloucester Rd., Queensway, Notting Hill Gate — Victoria.
Księgarnie: W. Filski, 1, George'sCourt, 250 Brompton Road, London S. W. 3, Orbis (Knigtsbridge).
Kluby: Ognisko i Orzeł Biały, Klub szeregowych — (Sussex Gd.), Tow. Polskie w Londynie (Regent Park Rd. 23), Samopomoc Lotnicza (Collingham Gd. 14), Kiosk w Rielief for Pies (daw. PCK) — Belgrave Sq. 34.
Sztab PKPR: kiosk przy żandarmie dyżurnym oraz sklep Naafi (Egerton Place 2).
Restauracje: Gospoda Polska (Oxford Str. 440), Jadłodajnia Polska (New Cavendish Str. 19), Wilerbys (Hannower Str. Oxford Circus 0), Adria (Queens Gate Sztabu PKPR Brompton Rd. 217 i Thurloe Str. 6.
Sklepy angielskie: Sado i King (Portland Str. 138), dwa sklepy w pobliżu Stanhope Gdns).

PICCARDO & CASTRO NEVARES,
adwokaci
W ARGENTYNIE
sekcja polska
Buenos Aires, Corrientes 222,
pod kierownictwem A. D. W. DZIEWANOWSKIEGO, udziela wszelkiego rodzaju porad prawnych i informacji handlowych. 010a

KLUB BIAŁEGO ORŁA
2, Albert Gate — London S. W. 1.
zawiadamia, że po całkowitej przebudowie kuchni
RESTAURACJA I KAWIARNIA
są otwarte codziennie nie wyłączając niedziel i świąt.
Przy restauracji OGRÓDEK czynny w dnie pogodne 041

POLSKI GÓRNIK PRACUJE W BRYTYJSKICH KOPALNIACH

"Urodziłem się w Bialyczach w Polsce," powiada Mieczysław Kwiatkowski, który poraz pierwszy pracował w górnictwie w 1939. "Powróciłem do pracy w górnictwie kilka tygodni temu. Jest to najlepszy zawód zarówno dla kraju jak i dla samego siebie." Anglia zawsze będzie potrzebowała węgla i dlatego praca górnika jest dziś najważniejsza w W. Brytanii. Warunki pracy są dobre: 5-cio dniowy tydzień, przeciętny zarobek tygodniowy od £6.0.0 do £8.0.0 za pracę w przodku oraz zapewnione stałe zatrudnienie. Korzyści te mogą przypaść i Tobie; zgłoś się więc do pracy i połącz się z rodakami, którzy już znaleźli pracę w tym zawodzie i przy boku swych brytyjskich przyjaciół i sprzymierzeńców, budują sobie pomyślną przyszłość.
*ZGŁOŚ SIĘ NA GÓRNIKA
—górników Anglia
STALE potrzebuje
* Jeśli Cię ten zawód interesuje, to podaj swe nazwisko Dowódcy lub przydzielonemu do Twego obozu urzędnikowi Ministerstwa Pracy i Służby Narodowej.
NCB
Ministerstwo Pracy i Służby Narodowej oraz Narodowa Rada Węglowa
035

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą według taryfy):
W W. BRYTANII szylingów: miesięcznie 3/6, kwartalnie 10/, rocznie 36/. Należności za prenumeratę, nadesłaną czekiem, Postal Orderem lub Money Orderem, przyjmuje przedstawicielstwo „Orła Białego" Gryf Publications LTD, 59/61 Hatton Garden, London E. C. 1. Tam należy kierować poszukiwania osób i nekrologi.
W BELGII franków belg.: miesięcznie 20, kwartalnie 60. Należność za prenumeratę wpłacać na rachunek pocztowy Solange Philippe C. C. P. nr. 785.060, podając na blankiecie tytuł zamówionego pisma i dokładny swój adres.
WE FRANCJI franków fr.: miesięcznie 40, kwartalnie 120, rocznie 480. Zamówienia oraz należność przyjmuje red. TADEUSZ KOPEĆ 80 Bd de Charonne — PARIS XX, nr. konta pocztowego Paris ce 571392 lub S-TE „LIBELLA" Librairie — 12 rue St. Louis en l'Ile — PARIS nr. konta pocztowego Paris ce 566150.
W HOLANDII miesięcznie fl.: 1,50, kwartalnie 4,30. Wpłacać przekazem pocztowym: Poolsch Aalmoezenier, Gasthuisstr. 45 Heerlen (Limburg).
W SZWAJCARII franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,30. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem, Fribourg 2. Case postale 19.
WE WŁOSZECH lir: kwartalnie 420. Prenumeratę przyjmuje J. MIECZNIKOWSKI, „Klosk Polski", via Vittorio Veneto 62. Roma. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym.
W SZWECJI koron: miesięcznie 2,50, kwartalnie 7, rocznie 28. Prenumeratę przyjmują „Wiadomości Polskie", Riddaregatan 35/I, Stockholm.
OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii przyjmuje wyłącznie firma HERRY Company, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., London W. C. 2. CENA OGŁOSZEŃ: za jeden cal przez łam £. 1.—

NADESŁANYCH RĘKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA NIE BIERZE ŻADNEJ ODPOWIEDZIALNOŚCI
ADRES REDAKCJI: Bruxelles (Schaerbeek) 186a, Avenue Rogier
WYDAWCA: S. Philippe. Reg. de Comm. No. 141562/41 — Bruxelles

Imprimé en Belgique par Imprimerie Industrielle et Financière „IMIFI" S. A. 47, rue du Houblon, Bruxelles